№ 52. Warszawa, dnia 14 (26 Grudnia) 1874 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Marzenie Wieśniaczki.

Gdybym ja kiedy była królową
Tobym sukienkę sprawiła nową,
Chustkę żółciuchną, różnowzorzystą,
Na szyję duże jak groch korale:
A i koszulkę cienką, śnieżystą;
Tożby dopiero było wspaniale!
A u korali *feteć* czerwony,
Przy nim *mentalik* szczero-złocony,
Gorset zielony, w kwiaty fartuszek,
Z białych baranków ciepły kożuszek,
Modrem sukienkiem pięknie pokryty...
Oj, i trzewiczek wstążką obszyty!
Od święta złoty krzyż u koronki,
Na każdym palcu — aż dwa pierścionki!
Bańtuszek długi, w poprzek szeroki;
Czepiec ze szlarką — oj, tak wysoki!...
Żeby to Kaśka królową była
Tożby się Janku ślicznie nosiła!

Jużbym ja pewno z biedy nie więdła...
Srebrne niteczki z kądziołki przędła;
Zawszebym działa, dziergała, szyła,
Wełniane płótno w prążki robiła;
Tu bym otarła skrzynie, tam ławy;
Jest też roboty — Boże łaskawy!...
Słałabym, słała miękkie łóżeczko,
A nad łóżeczkiem, nad pościołeczką,
Cudne obrazki, oblicza święte,
Palmy, gałązki, wianki uschnięte;
Najświętsza Trójca i Matka Boska,
Panienka nasza, oj, Częstochowska!

A już to moje wszelkie naczynie
Jak wieś szeroka z porządku słynie.
Jadło bym kładła w misy złociste,
Na białym stole obruski czyste,
W szklaneczki miodek słodziuchny lała,
I jajecznicę wciąż przysmażała;
Piekłabym, piekła kołaczów siła,
Oj, i śmietanę masłem krasiła!
Żebym przejasną królową była
Tożbym to wszędy rej prowadziła!...

A co się w izbie zmieścić nie może,
Tobym chowała w ciemnej komorze:
Faski, beczułki, motki skręcone,
Schaby i połcie w dymie wędzone,
Kasze i mąki — różne różności...
Oj, będzie tego aż do sytości!

Byłyby były stogi i brogi,
Pługi i wszelki rolny sprzęt mnogi;
Do gospodarstwa miałabym sługi,
Obórkę, chlewek jeden i drugi,
Tłuste cielaki, krówki toczone;
Wołki by miały rogi złocone,
W stajni koniki, niby jelonki;
Owce by tłukły w mosiężne dzwonki;
Kaczki, gąsiątka, kury, indyczki
Tożby gwarzyły! oj, swawolniczki!...
A ja im ziarno sypię po ziarnie:
Naż wam niebogie, nie gińcie marnie!
Żebym ja wielką królową była
Tożbym stworzenia sucie karmiła!

A co ziemniaków — to już, mój Boże,
Więcej na żadnym nie było dworze!
Jarzyny nie brak — pełne zagony...
Leży jak basza arbuz zielony;
W lesie orzechy i siwe grzyby,
Sianko na łące, w rzeczułce ryby.
Idę... spozieram... oj, wszyscy Święci!
Toż pachną lipy, aż w nosie kręci!...
Słucham... już młynek fruczy, kołacze,
A tu mój Burek wedle mnie skacze,
A tu na dachu gołąbek jęczy,
A tu w pasiece pszczółeczka brzęczy;
A tu w sérniku, pod starą gruszą,
Pięknie się sérki na słońcu suszą;
W sadzie z drzewiny, w wiotkie płateczki,
Pruszą, by śnieżek, białe kwiateczki.
Śliwki, czereśnie dobrze coś wróżą;
Będzie też wiśni i jabłek dużo,
Zboże gęściuchne miga na łanie...
Za wszystkie dary chwała ci Panie!...
Przyjdzie ubóstwo, ludzie poczciwi,
Niech się chudzizna przy nas pożywi.
Żebym ja kiedy była królową
Byłoby wszystkim syto i zdrowo.

Przyjdzie niedziela, już wstało słonko,
Mgła w sine kłaczki rwie się nad łąką,
Na płocie kogut czubaty drze się;
Bociek klekocze, małym żer niesie...
Jabym też rychło ze słonkiem wstała,
I po śniadaniu wszędy zajrzała;
Po tem dziecinki, moje chłopięta,
Wystroiłabym jak królewięta;
A zaś córeczki... już byłbyś pewny
Że to nie księżne, jeno królewny!

Już i dzwoneczek dzwoni na wieży,
Krzyczę niech każdy pręciuchno bieży:
Boć to w kościołku, Janku kochanie,
Dobrodziej powie śliczne kazanie.

Zmówiwszy pacierz, gorąco szczerze,
Chętka do kumów zajść jakoś bierze
Po tem do boru idziemy zgrają...
Dziewki jagódki, grzybki zbierają,
Chłopcy się drapią na drzew wierzchołki,
Tu znów smyrgają dziarskie koziołki,
To przyśpiewują, to dmą w piszczałki,
Dziatwa chleb z serem ciągnie z kobiałki.
Szumi po lesie: „Danaż, oj dana!
Czy ty mnie kochasz Maryś kochana?..."

Wychodzim z boru, na ślicznej łące
Zbieramy kwiatki, ziółka pachnące.
Żeby przyspożyć sobie zabawki,
Jedna związuje zielone trawki,
Druga parzystych listeczków szuka,
Aż tu kukułka w krzewinie kuka:

,,Oj, wróż mi wróżko! oj, panieneczko!
,,Długoż ja jeszcze będę dzieweczką?"
Zuzula kwili: ,,Kuku! oj, kuku!"
A młódź chichocze aż do rozpuku:
,,Krzywda się stała naszej Hanuśi —
Jeszcze dwa lata rutkę siać musi!"

A Hanka za to nic się nie gniewa,
Tylko, ująwszy w pasie, zaśpiewa:
,,Czemu się Antku nie żenisz jeszcze?"
,,Oj, bo mnie Magda, oj, bo mnie nie chce!"
Ej, tóż to śmiechy, przygryzki, skoki,
Aż się chwytają ludzie za boki.

Kędy warkocze wierzby spuszczają,
Wszyscy nad wodą sobie siadają;
Wiją równianki nasze dziewuchy,
Malce ciskają chleba okruchy;
Klaskają w rączki, tak się weselą
Gdy rybka pluśnie czerwoną skrzelą.

Słoneczko krążkiem srebrzystym świeci,
Aż tu ciepluchny wietrzyk przeleci,
Sunie obłoczek, precz od dąbrowy,
Trzepie jak z sita deszczyk majowy.
,,Ejże, zmykajcie nazad do lasu!"
Oj, co też krzyku, co też hałasu!
Każden się tłoczy, popycha, bieży:
Brzdęk!... i jak długi na ziemi leży.

Już pod leszczyną młodzi i starzy;
Cała gromadka żartuje, gwarzy,
Deszczyk ustaje i śliczne tęcze
Pną się po niebie w barwne obręcze,
Końcami piją z rzeczułki wodę...
Toż to będziemy mieli pogodę!
Dla Boga! ludzie, jakże to pięknie!
Mało z radości serce nie pęknie.

Matki jak smoła do chat się wleką;
Widać kościołek, tam, niedaleko;
Na Anioł-Pański już dziadek dzwoni;
Głos się rozlega, po rosie goni...
Krzyż na rozdrożu — a któż go omija?
Klękamy szepcząc: ,,Zdrowaś Maryja!"

Wchodzim we wrota... mój Jezu święty!
Na kwiatkach perły i dyamenty!
Jakiż to zapach i świeżość wszędzie...
Chyba już w raju cudniej nie będzie!

Składamy szaty — i po wieczerzy
Każdy w mięciuchnem łóżeczku leży
I cicho... z Bogiem złe nie przeszkodzi...
Tylko miesiączek po niebie chodzi,
Niby oczami gwiazdki mrugają
I ludziom śliczne sny nasyłają...

Dobra wam nocka! ludziska mili.
W różanym krzewie słowiczek kwili,
Żabki rechocą w dalekim stawie...
A czy ty słyszysz co ja ci prawię?...
Żebym ja, żebym królową była,
Takbym mój Janku, oj takbym żyła!...

Marta.

MAURYTANIE I ARABY.

Szkice z życia wschodniego

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Dokończenie).

Po trzech kwandransach podróży zbliżyliśmy się do Bardo.

Jest to zbiór nieforemnych budynków, w których dawny styl maurytański, łączy się z nowożytnym włoskiem; wszystkie prawie domy bez dachów otoczone wysokimi murami, nad któremi wznoszą się dwa lub trzy minarety z błyszczącymi półksiężycami, czynią iż Bardo na pierwszy rzut oka zdaje się być raczej małem arabskiem miasteczkiem, nie zaś mieszkaniem panującego. Do koła murów wśród obszernych dziedzińców, roi się niezliczona ilość przekupniów i handlarzy, przy każdej bramie stoi warta tunetańska, główne zaś wejście do rezydencyi strzeżone jest przez boabów, rodzaj odźwiernych pełniących jednak częstokroć obowiązki katów.

Bez żadnej trudności wpuszczono nas na dziedziniec Bardo, jedynym talizmanem do uzyskania wejścia, był wyraz kilkakrotnie wymawiany przez mego dragomana, do otaczających bramy żołnierzy.

— Barani fransawi! (cudzoziemiec francuz).

Było to dla mnie dowodem o ile rząd tunetański pochlebia francuzom, jak stara się w najdrobniejszej na pozór okoliczności okazać przychylność swoją dla tego narodu.

Nie mogąc dostać się na salę sądów, gdyż na to potrzeba szczególnego pozwolenia Beja, zostaliśmy w dziedzińcu mając przed oczami ożywiony ruch jaki zwykle w dniach poświęconych wymiarowi sprawiedliwości w tych przybytkach Temidy panuje. Mnóstwo urzędników sądowych mniejszych i większych w fezach lub turbanach, wchodziło i wychodziło z rezydencyi, za każdym z nich murzyn niewolnik niósł plikę papierów, lub też niezwykłych rozmiarów pieczęć; niektórzy byli otoczeni na wstępie tłumem suplikantów, popierających swoje prośby lub zażalenia a rozpędzanych zwykle przez kije boabów. Zdarzało się iż który z proszących otrzymał przychylne kiwnięcie głowy, trzeba było widzieć wtedy radość jego: składał ręce na piersi wzywając imienia proroka ażeby zlał wszelkie dobrodziejstwa na głowę wspaniałego Beja i przemądrych jego urzędników.

Czasami boabowie wynosili na rękach biedaka krzyczącego w niebogłosy i wijącego się w strasznych cierpieniach; położony na ziemię kroku nie mógł postąpić ale czołgał się ku bramie na rękach i kolanach rycząc z boleści.

Nieborak dostał 500 kijów w pięty.

Żaden jednak z widzów nie śmiał najmniejszem słowem lub gestem okazać litość nad nieszczęśliwym, każda bowiem oznaka współczucia byłaby uważaną za ubliżenie nieomylnej sprawiedliwości sądów.

Najwięcej jeżeli który ze starszych wyrzekł sentencyonalnie:

— Indarab! (został uderzony) sprawiedliwość się wypełniła.

Kara bastonady dotyka jedynie ubogich, każdemu bowiem skazanemu na nią, służy prawo wykupienia się pieniędzmi, które idą do skarbu jeżeli zawinił przeciwko rządowi, zalegając np. w opłacie podatków, albo do rąk oskarżyciela jeżeli zgrzeszył przeciwko prywatnej osobie. Najczęściej redukcya kary cielesnej na opłatę ustanawia się rachując po 5 piastrów (ośm złotych tutejszych) za każde uderzenie, a redukcya podobna zwie się w prawodawstwie arabskiem Dia.—

Sprawiedliwość w Bardo nader szybko się wykonywa: po przesłuchaniu które nie trwa nigdy dłużej jak dziesięć do piętnastu minut, następuje wyrok. Jeżeli obwiniony uznanym został za niewinnego, Bej skłoni tylko z lekka głowę, co znaczy: idź w pokoju: w przeciwnym razie albo wymówi głośno jakąkolwiek liczbę np. hamsin (pięćdziesiąt) telata mijech (trzysta) albo też wyciągnie rękę prostopadle przed siebie i powie: kiss!

Po wymówionej liczbie, w razie gdy skazany nie sięgnie do trzosa, boabowie porywają go i wyprowadziwszy do przeznaczonej na ten cel sali, wśróbowawszy nogi w stosownie urządzoną maszynę, przystępują do wykonania wyroku.

Zwykle jeden z nich liczy uderzenia przesuwając paciorki na sznurku, liczba bowiem razów powinna być najdokładniejszą: jedno uderzenie mniej lub więcej sprzeciwiałoby się nieomylności sądów a boabowie ciężkoby za to odpowiadać musieli. Wymówienie wyrazu kiss oznacza wyrok śmierci. Usłyszawszy to straszne słowo wykonawcy sprawiedliwości porywają ofiarę i ciągną po za mury rezydencyi; tłumy handlarzy i przemysłowców snujące się zwykle w dzień sądów po dziedzińcu, ciągną za skazanym pragnąc pochwycić choćby najmniejszą cząstkę burnusa lub kaftana. Każdy bowiem kawałek ubioru tego biedaka, staje się wtedy, podług ich wyobrażeń talizmanem mającym przynieść szczęście posiadaczowi. Kiedy już boabowie wywlekli ofiarę po za mury Bardo, jeden z nich za danym znakiem kłuje skazanego sztyletem w bok prawy, a on naturalnym poruszeniem obraca twarz swoję w tym kieruku, co widząc drugi boab korzystając z chwili sposobnej, zręcznem uderzeniem jatagana oddziela głowę od reszty ciała.

Trzeba jednak wyznać, że kara śmierci nader rzadko miała miejsce w czasie bytności mojej tamże. Sidi-Mohamed, panujący wówczas Bej, był zawsze charakteru łagodnego i spokojnego, a jeżeli zbyt ostre zwyczaje i drakońskie prawa zmuszały go niekiedy do używania środków gwałtownych, barbarzyńskich, to w głębi ducha bolał nad tą koniecznością, a wydając wyrok potępienia więcej cierpiał częstokroć niżeli sama ofiara nieludzkich ustaw.

Inaczej rzecz się miała za dawnych czasów. Husein-Bej stryj i poprzednik natenczas panującego, jakkolwiek znanym był ze swej sprawiedliwości, nietknął bowiem nigdy niewinnego, najdrobniejsze przewinienie karał śmiercią, a przysyłanie stryczka najpierwszym dygnitarzom dworu, stało się wtedy zwyczajnym codziennym niemal wypadkiem, kiedy zaś zajrzemy w dalszy głąb przeszłości, obrazy wybiegające jako straszne wspomnienie z tego chaosu powrozów, szubienic, żelaznych pali i strumieni krzepnącej krwi ludzkiej, wyradzają tyle zgrozy i obrzydzenia, że myśl odwraca się ze wstrętem od owych oburzających okrucieństwem faktów, a serce wierzyć nie chce ażeby te ohydne istoty mogły być stworzeniami boskiemi na podobieństwo Wszechmocnego zrodzonemi. Jeden mianowicie z Bejów, którego nazwiska nie pomnę, zwany powszechnie przez arabów Bałta (toporem) miał zwyczaj sam wykonywać wydane przez siebie wyroki. W tym celu na najpokaźniejszem miejscu sali audiencyonalnej wisiało to narzędzie zawsze prawie krwią zarumienione i gotowe na usługi władzy. Wezwany przez Beja faworyt, urzędnik dworu, wojownik lub bogaty mieszczanin nie wiedzieli nigdy co ich tam oczekuje: czasem bowiem udzielał on im dostojeństwa, zaszczyty, trzosy złota, czasem znowu ucinał głowy bez żadnego poprzedniego objaśnienia.

Niewiadomość ta przywołanego o niepewności losu jaki go czeka, stanowiła właśnie najprzyjemniejszą rozrywkę Beja.

Dramat zaś odbywał się następującym sposobem:

Wezwany zastawał zwykle władcę stojącego na środku audiencyonalnej sali i trzymającego w lewej ręce trzos złota, dyplom opatrzony pieczęcią na które z dostojeństw kraju, w prawej zaś wymieniony wyżej topór. Po oddaniu przepisanego ustawami salem przybyły oczekiwał w milczeniu rozkazów Beja, który z łagodnym uśmiechem wpatrywał się w twarz jego, przedłużając z wyrachowaniem tę chwilę niepewności.

Gdy się już nacieszył do woli widokiem pacyenta:

— Klęknij u nóg moich, rzekł pełnem czułości głosem.

Wezwany wykonał niebacznie rozkaz.

— Obnaż cokolwiek szyję, tak, dobrze, widzę że się znasz na rzeczy... mówił dalej pieszczotliwym tonem.

I poczekał jeszczę chwilę.

— A teraz schyl bardziej głowę ku ziemi... wybornie, doskonale...

I doprowadziwszy tak rzeczy do ostateczności, albo rzucił schylonemu trzos złota z dyplomem pod nogi, albo też jednym silnym zamachem topora ucinał głowę.

Czasem wezwany stał śmiało, odważnie, z pogardą życia malującą się w oczach; czasem drżał jak listek, siny, blady, znękany nigdy jednak ni jednym wyrazem nie dał poznać co się w duszy jego działo, wiedząc że ten wyraz byłby zupełnie zbytecznym. Ani bowiem szlachetna odwaga, ani nikczemna trwoga, ani jasne i piękne spojrzenie, ani zdradziecki wyraz oczów, nic nie zdołało wpłynąć na postanowienie Beja.

Postanowienie to zależało jedynie od chwilowego kaprysu, od złego lub dobrego usposobienia: czasem największy zbrodniarz dostawał trzos złota i dyplomy, czasem znów najwierniejszy sługa, najbardziej odznaczający się wojownik padł rażony śmiertelnym ciosem.

Nikt z poddanych przewidzieć nie zdołał jaki go los czeka wśród audiencyonalnej sali.

— Kul wahed je ammel elli jekdur alej (każden czyni co może) mawiał zwykle Bej; życie ludzkie tak jest pełne utrapień i smutków, że trzeba je sobie uprzyjemniać wszelkiemi możliwemi rozrywkami.

Krótki ten zarys obyczajów tunetańskich i samowolności dawnych rządów,zbyt wybitnie maluje stan ówczesny i wzajemne stosunki władców z poddanemi, ażebym widział potrzebę rozszerzania się dłużej nad okropnościami które tylko obudzić mogą wstręt i zgrozę w sercu czytelnika.

Przejdźmy więc do innych przedmiotów.

Na całej przestrzeni brzegów afrykańskich i dalej jeszcze zapuściwszy się w głąb tego oceanu piasków, widzieć się dają tu i owdzie kuliste budynki w stylu maurytańskim stawiane, a ozdobione rzeźbami grubo z kamienia wyciosanemi z pół księżycem u szczytu, z wejściem nizkiem, ciemnem, które zwią się marabutami.

Marabut jest to grób słynnego wieszcza mądrością, wyznawcy koranu czyli świętego, postawiony na jego cześć jako wiekowa pamiątka, do którego pobożni arabowie przychodzą w czasie swych wędrówek pomodlić się lub też odbyć niektóre religijne obrządki.

Najczęściej budynek podobny, pusty wewnątrz, staje się punktem wypoczynku przechodzącej karawany; czasami jednakże szczególniej w bliskości miast i ludniejszych osad jest on zarazem mieszkaniem żywego marabuta, czyli człowieka który nie tyle z cnót swych jak z przysądzonej mu nadludzkiej władzy uważanym jest za świętego. (*)

Jednego więc dnia poczuwszy nieprzezwyciężoną chęć oglądania własnemi oczami żyjącego świętego, nająłem eskortę złożoną z ośmiu tunetańskich żołnierzy i wspólnie z moim dragomanem udałem się w kierunku marabuta Al-ben-ramzi-Alchamed, gdzie mieszkał najsłynniejszy podówczas arabski wieszcz, do którego przystęp jak mnie objaśniono, równie był łatwym dla wyznawców islamizmu jak i dla Giaurów, których tenże miał nadzieję owładnąć mądrością swojego ducha.

Droga z Tunis nie przedstawiała żadnego powabu dla zwolennika piękności przyrody; najdrobniejsze miasteczko włoskie ze swojemi gruzami zabytków Rzymskich, najmniejsza wioska tego kraju, zawieszona na skale, wybiegały poetycznością zarysów swoich z prozy rzeczywistego życia, wyradzając w duszy wędrowca smętne marzenie lub błogi zachwyt, tu zaś nic podobnego nie mogło mieć miejsca. Niknąca w oddaleniu stolica barbaryjskich krain ta masa białych murów i nizkich z płaskimi wierzchami domów, wydawała się jakoby niekształtny zbiór ogromnych bloków kamienia nagromadzony niefortunnie wśród wydmy piasczystej. Z lewej strony pasmo gór nagich koloru ceglastego lub ciemno-brunatnego, zewsząd żółcące się piaski, nie dodawały uroku tej bezbarwnej okolicy. Jedynem jej urozmaiceniem były wysokie palmowe drzewa, rysujące wysmukłe swe kształty na różowem tle niebios, szeregi wielbłądów postępujące wolnym i poważnym krokiem, i pasterze arabscy w brudnych burnusach z długiemi zakrzywionemi w góry kijami, którzy siedząc przy drodze, wiedli za nami swoim bezmyślnym, obojętnym wzrokiem.

Jednostajny ruch mojej lektyki niesionej przez czterech murzynów, milczenie panujące dokoła, posępność okolicy, palący żar promieni słonecznych, nie złagodzony żadnym promieniem słońca sprawiły we mnie jakąś stagnacyę myśli, jakieś odrętwienie ducha doznawane tylko przez mieszkańców podzwrotnikowych krajów, które przy używaniu opium i hatszi zamienia się z czasem na zupełną stagnacyę władz umysłowych. Stan to jest dziwny i przykry zarazem: nie spałem a jednak straciłem pojęcie rzeczy, czułem duszący żar ognia niebieskiego, a jednak nie znalazłem w sobie dosyć woli i mocy do uczynienia jednego ruchu, do wymówienia choć jednego wyrazu. Widziałem czerwone fezy żołnierzy stąpających przy lektyce i czarne twarze najętych murzynów, słyszałem regularne ich stąpanie, chciałem myśleć, czuć, mówić, starałem się ażeby uchwycić wątek jakiegokolwiek wrażenia któreby mnie złączyło z rzeczywistością życia, napróżno! Im więcej siliłem się chcąc przełamać tę zaporę odrętwienia, tym bardziej doznawałem ogromnej nieudolności...

Podobnego wrażenia doznawać mogą tylko w naszych krajach ci nieszczęśliwi, którzy ze stanu zdrowia umysłu, przechodzą w stan obłąkania. Czują oni jak rozum ucieka, widzą jak myśl się plącze, pragną uchwycić rozbiegające się zewsząd wrażenia, uczucia, wspominki, a każde usiłowanie strąca ich jeszcze głębiej w straszliwy chaos rozstrojenia zmysłów, z którego wyjść im niepodobna.

Długo w tym stanie zostawałem powiedzieć nie umiem. Zdaje się że jedynie mroki nocy, albo powiew chłodzącego wiatru, wiejącego od strony morza, zdołałby położyć koniec mojej bezwładności, gdyby ustający nagle ruch lektyki nie wyrwał mnie z odrętwienia.

Stanęliśmy przed marabutem Al-ben-ramzi-Mahomed.

Był to budynek podobny zupełnie do tysiąca innych tego rodzaju pomników: krągły, dość wyniosły z ozdobami grubo rzeźbionego kamienia, ze źródłem sączącem zdrojową wodę, z kilkoma drzewami dającemi cień i osłonę.

Przy wejściu, na rozłożonej skórze wielbłąda, siedział starzec w szerokiej tunice i zielonym turbanie: gęsta siwa broda spływała mu na piersi.

Był to wieszcz którego szukałem.

Święty ów arabski nie zdawał się bynajmniej zważać na nas. Oczy jego jasne, spokojne, wlepione były w błękitny widnokrąg niebios, w rękach trzymał rodzaj paciorków przesuwających się po sznurku, a ustami z lekka poruszającemi się wymawiał cicho wyrazy modlitwy Akr, którą każdy muzułmanin winien trzy godziny przed zachodem słońca odmawiać.

Dragoman skinął na żołnierzy którzy oddalili się cokolwiek, a mnie dał znak ażeby nie przerywać religijnych zajęć wieszczego męża.

Po półgodzinnem oczekiwaniu, w czasie którego staliśmy wszyscy w milczeniu, starzec skończywszy swoje modlitwy, obrócił zwolna ku nam głowę, a wzrok jego spokojny, poważny, zatrzymał się na mnie.

Skłoniliśmy twarze, oddając salem.

— Syn zamorskich chrześcijan, rzekł uroczystym głosem, przyszedł do sługi prawdziwego Boga. Jakaż myśl prowadziła kroki jego?

— Rozgłos i sława mądrości twojej o marabucie, odrzekłem za pośrednictwem dragomana, przebiegła morza szerokie i doszła do uszów moich.

Pochlebstwo snadź wszędzie popłaca nawet i u świętych arabskich. Starzec spojrzał na mnie widocznie przychylniejszym wzrokiem.

— Jakież były żądania chrześcijańskiego syna, gdy skierował drogę swoją do mieszkania sługi Boga prawowowiernych.

— Najprzód ażeby oczy jego oglądały słynnego mądrością ulema...

— Tej łaski dostąpił już syn chrześcijan postawiwszy stopy swoje przed marbutem Al-ben- ramzi-Mahomed.

— Powtóre, ażeby z ust jego usłyszeć ową mądrość której sława rozchodzi się po obszernym świecie.

— To żądanie okazujące powagę zastanowienia chrześcijańskiego syna wypełnionem zostanie.

— Po trzecie, ażeby otrzymać z rąk wielkiego nauką maabuta *hegab* (talizman).

— Chwalący Boga i jedynego proroka jego Mahometa, żałuje że ostatnie żądanie zamorskiego cudzoziemca, nie może być wypełnionem. Hegab nie daje się tylko prawowiernym wyznawcom koranu; w rękach innych nie ma on znaczenia ani mocy.

Wyraz *Baszka* (inny) wymówił z niejakim przyciskiem.

Po tej wstępnej rozmowie nastąpiło istotne posłuchanie którego szczegółów podać nie mogę, gdyż ono dotykało osobistych moich stosunków. Marabut opowiadał mi moją przeszłość i przyszłość, wyjaśniał dążenia, określał wypadki, dotknął uczuć i wrażeń, a mówił wszystko owym uroczystym stylem wschodnim, który najprostszą rzecz w tyle świetnych barwach cudowności umie przedstawić.

Miłość prawdy wyznać mi każe, że jeżeli nie zachwyciła mnie jego mądrość tyle ileby się tego po ustalonej reputacyi wszechwiedzy starca spodziewać było można, natomiast zadziwiłem się niezwykłą zręcznością z jaką w każdej odpowiedzi w mieszać musiał nieznacznie zapytanie, i bystrością jakiej dawał dowody rozsnuwając z pochwyconych w ten spo-

(*) Tytuł marabuta w niektórych kastach przechodzi dziedzicznie na pierworodnych synów źródłosłowem zaś tej nazwy jest słowo *Marteoth*, które znaczy po arabsku, wiązać. Marabut bowiem związanym jest dobrowolnie pewnemi ślubami, mianowicie co do odmawiania niektórych modlitw. (przy: aut:)

sób słówek, wnioski zawsze trafne i nieomylne. Wielkiej trzeba wprawy w podobnem postępowaniu ażeby nie powikłać się w odpowiedziach, nic więc dziwnego że arabowie nie odznaczający się w ogóle szybkim polotem myśli, a widząc tylko skutki bez dopatrzenia przyczyny, wierzą w cudowność i uwielbiają mądrość ducha przebiegłego starca.

Słońce już zapadło na widokręgu kiedy opuściwszy Al-ben-ramzi-Mahomeda, udaliśmy się z powrotem do Tunis. Słabnący żar ognia niebieskiego złagodzony wiatrem la bora wiejącym od strony morza, sprawił iż powrót nasz nierównie był przyjemniejszym od poprzedniej wycieczki. Dragoman mój któremu z powodu zmęczenia pozwoliłem wsiąść do lektyki, opowiadał mi różne szczegóły o życiu arabów które okazywały, że naród ten milczący, poważny, zamknięty w sobie, nader jest poetycznym; a jeżeli dzikość jego obyczajów nie złagodzona napływem cywilizacyi którą nauka koranu odpycha od siebie, przedstawia mieszkańców północnej Afryki jako ludzi okrutnych, bez serca i uczucia ludzkości, to zważywszy że usposobienie powyższe wypływa nie z charakteru lecz z dążności i wiekowych przywyknień, inaczej nam wypada sądzić o tych pozostawionych samym sobie dzieciach pustyni.

Wiele rzeczy przedstawia się w innym zupełnie świetle z bliska jak z daleka. Francya która poznała arabów, oddaje sprawiedliwość ich bohaterskiej odwadze, ich wspaniałości w szanowaniu bezbronnych niewolników wojennych, ceni ich cnoty domowe i prawość charakterów; ale opinja Francyi afrykańskiej przefiltrowana dziennikarską gadaniną, ulega zupełnemu przeistoczeniu nim dojdzie do naszych północnych krajów. Chłód wiejący od lodów i śniegów, wpływa także nie mało na zdanie odległych ludów; patrząc przez mgłę zamieci śnieżnej, inaczej się widzi przedmioty, jak pod promieniem palącego słońca Afryki: wtedy szczyt bohaterskiej odwagi wydaje się szałem i zuchwałością, zemsta rodowa wkorzeniona w obyczaje ludu zbrodnią, a prawo krwi barbarzyństwem.

Nierozwodząc się już o rycerskości tych pokoleń, dowiedzionej świetnemi czynami kampaii francuzkiej, wspomnę tylko o cnotach domowych arabów. Życie rodzinne w Afryce północnej, odznaczające się patryarchalnością obyczajów jakie tylko podanie przechowało w pamięci naszej, obudza uwielbienie i cześć w sercu najobojętniejszego nawet wędrowca.

Gdzież kto widział np. u nas kędy niewiara podkopuje stosunki między ojcem i synem, mężem i żoną; gdzie bracia rodzeni nie ufają sobie wzajemnie, ową miłość owe zaufanie bez granic, ową niewiadomość fałszu zdrady i podstępu? Ojciec rodziny jest tam patryarchą, panem, władza jego rozciąga się daleko — a przecież widziałże kto u nas przykład podobnej miłości dla rodziców jak w dziesięcioletnim synku Bel-Hadżi, skazanego na 20 lat galer wskutek procesu kapitana Doineau *). Stosunki także żony do męża nie zupełnie są takie, za jakie przywykliśmy je uważać. Wprawdzie prawo nadaje mężowi nad żoną władzę despotyczną, czyniąc niewolnicą prawie tę której przeznaczeniem być towarzyską i pocieszycielką życia naszego, ale jeżeli ustawy są tak srogiemi, jakże wysoko staje wtedy miłość małżeńska wyradzająca się pod naciskiem podobnych stosunków, jak to widzimy w zeznaniach w domu zamordowanego agi Abdalach **). Hańba więc drakońskiem prawom, ale cześć ludom, które choć przytłoczone żelaznemi ich pętami zdołali wyrobić w sobie godność osobistą, i rozpłomienić w głębi serc swoich zaród świętych cnót domowych!

*) Akta procesu kapitana Doineau i ośiemnastu arabów.
**) Też akta.

Uczucia nasze złagodzone dobroczynnym wpływem nauki Chrystusa, wzdrygają się na samą myśl wielu czynów okropnych, które są naturalnem następstwem starożytnej pierwotności ich wyobrażeń, podtrzymywanych zasadami religii. W kolebce świata w gronie ojców mających się rozproszyć narodów, zemsta uważaną była nie tylko jako uczucie słuszne ale jako cnota nawet. Chrystyanizm dopiero tchnący najczystszą miłością, przekonał nas że prawo krwi nie jest wypływem sprawiedliwości ale podszeptem żądz namiętnych, że zwycięztwo ducha nad ciałem, staje się prawdziwem zwycięztwem. Oni, owe dzieci pustyń, pozostali dotąd pogrążeni w pierwotnej ciemnocie wyobrażeń, a żadne światło nie olśniło zbawczym blaskiem fałszywej drogi po której od tylu wieków stąpają — możnaż więc dziwić się ich czynom, możnaż potępiać charakter tego narodu?

LIST TRZECI

Z NOWEGO YORKU DO CHICAGO,

w Ameryce północnéj

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dokończenie).

— Koniec końcem nieźle Wam poszło w Ameryce.

— Nie mogę bardzo się skarżyć, boć to i człowiek posyła czasem trochę pieniędzy do starego kraju. Przed trzema latami sprowadziłem tu i brata, lecz bardzo źle mu idzie.

— A to dla czego?

— Najpierw wziął grunt, ale po roku już porzucił farmę i przyjechał ze mną do Chicago. Tu jakoś zawsze bez roboty, bo albo się pokłóci z formanem albo pobije z Ajryszami, co to zawsze mordują Duczmanów.

— Gdyby był mniej skory do bitki, lepiejby mu szło rzecze proboszcz.

— Ej, on to nie ma żony, to i nie bardzo dba o robotę. Jak się raz ożeni to się ustatkuje.

— A macież tu dużo dziewcząt z waszych stron? zapytałem raczej z cicha, by proboszcz broń Boże niepodejżywał jak chętniebym się chciał poznać z Polkami.

— Panie, tu ich jak maku, a same zuchy! Kilka lat temu kiedy się człowiek chciał żenić to albo brał duszmankę albo do domu pisał po żonę, teraz wszędzie znajdzie swoją dziewkę.

Nie chcąc dłużej zatrzymać proboszcza wyszedłem z nim by mu towarzyszyć przy kweście. Owa świnka ciekawego kształtu znów zwróciła moją uwagę:

Zmiłuj się księże, zkąd tu polska nierogacizna się bierze.

— Panie, Koszuby nie tylko nierogaciznę ale i psy koty i krowy poprzywozili z sobą, gdy pełny ich okręt przyjechał w prost z Gdańska do Ameryki. Gospodarz nasz należał do tej gromadki i osiadł z nią w Wisconsin. Świnia ta jest pewno potomkiem przywiezionych z Europy. Gdybyś pan odwiedził osady Szlązaków w Texas, gdzie tysiące naszych włościan osiadło na gospodarstwie, ujrzałbyś i pierzyny i garnki gliniane i bydło zupełnie takie jak u nas.“

— Jakże powodzi się tym ludziom w Texas?

— Lepiej jak tu. Każdy z nich co chce pracować znajdzie 5 lub 6 dolarów tygodniowego zarobku i naje się trzy razy na dzień po amerykańsku.

Jeżeli oszczędny, wnet złoży dość na założenie własnego gospodarstwa. Tak samo ma się rzecz i w Illinois, Missouri, Jowie, i Wisconsin, słowem wszędzie gdzie nasi wzięli się do roli. Jak Niemcom tak i im lepiej idzie od Amerykanów na gospodarstwie, pracują bowiem wytrwalej za mierną nagrodę. W wielkich miastach przeciwnie tylko się tym wiedzie co mają głowę do businesu (interesów). Niektórzy porobili tu majątki na aptekach, hotelach i sklepach, inni stracili grosiwo przywiezione lub z ciężkiej pracy zaoszczędzone.“

— Czy nasi mają wszędzie jak tu szkoły i kościoły?

— We wszystkich miejscach gdzie ich więcej się gromadzi i istnieje misya zmartwychwstańców, zakładamy kościoły. Składki na kościół płyną zwykle dość obficie. Ze szkołami szło dawniej tępo i dzieci wałęsały się po ulicach z dziećmi amerykańskiemi, nie ucząc się nawet swego języka. Teraz jednak wzięliśmy się tak energicznie do rodziców iż posyłają dzieci do szkółek. Tam uczymy dziatwę po polsku, angielsku i niemiecku oprócz zwykłych przedmiotów wykładanych w szkółkach pruskich.

— Zkąd bierzecie nauczycieli?

— Nauczyciel tutejszy pochodzi z Poznania, prócz tego pomaga mu organista. Mamy i bakałarzy z Galicyi.

Rozmowę przerwał widok księgarni w której sprzedają obrazy świętych i książki do nabożeństwa. Właściciel jej zakłada dziennik polski w Chicago Proboszcz i tu wykwestował kilka dolarów. Każdy z obecnych w księgarni dał coś pieniędzy lecz narzekał na częste składki.

— Wszak nie dawno dałem 5 dolarów na kościół mówi jeden.

— A ja 2 na obraz nad ołtarzem, rzekł drugi.

— A wnet przyjdzie płacić i proboszczowi i profesorowi, gdy grosza nie ma w kalecie, dodaje trzeci.

— A na nowym kościele jeszcze jakie 2000 talarów (lud tutejszy nasz zawsze nazywa dolar talarem) długu. Toć i na to trzeba składać aby procenta opłacić, woła czwarty.

I nie dość na tem że człowiek tyle tu daje, ale jeszcze musi się składać na kościół w Milwoce (Milwankee) co to ma dwie wieże i 50000 talarów kosztuje. Po co im dwie wieże w Milwoce? Nasze kościoły tu nie mają żadnej. Dla zrozumienia tej uwagi o kościele w Milwankee musicie wiedzieć że istnieje miasto Milwankee, o kilka godzin drogi od Chicago, gdzie także dużo Polaków.

— Ej nie skarżylibyście się Piotrze, rzecze księgarz do ostatniego mówcy. Wszak 10 dużych salonów (szynki nazywają w Ameryce salonami) stoją w Chicago a każdy robi dobry business. Kiedy macie dość pieniędzy na piwo, starczy was i na kościoły.

— Człowiek musi pić piwo w Ameryce, bo tu woda szkodzi.

— Nie szkodziła wam woda w Poznaniu, gdyście 5 trojaków na dzień zarabiali a teraz już zaraz piwa wymagać.

Uwaga ta najtrafniej charakteryzuje jak prędko wzmagają się potrzeby ludzkie gdy środki starczą.

Ten sam Piotr co musi pić piwo dla zdrowia, wielceby się teraz zgorszył gdyby mu nie dano 3 razy na dzień mięsa, gdyby nie pił kawy i herbaty i pracować za mniej jak 2 dolary dziennie. Co do ostatniego punktu to ręczę iż prędzejby trzy dni pościł jak przyjął choćby o 10 centów

Żaden z wyrobników z któremi rozmawiałem nie wzdychał za starym krajem a nawet cokolwiek pogardliwie wyraża się o Europie. Z ludźmi wykształceńszymi rzecz się ma inaczej.

Pewien młody i bardzo światły człowiek, spotkał nas wgodzinę po wyjściu z księgarni. Był to niejaki p. W. były kapitan wojsk tureckich i oficer dodany cesarzowi austryjackiemu podczas podróży Naj. Pana po Syryi i Palestynie. W nagrodę za oddane monar-

sze usługi otrzymał Krzyż zwany Franz-Josephs, order czyli legiję honorową austryjacką.

Tu jest subjektem w aptece i pobiera tylko 50 dolarów miesięcznie, mniej więc jak wyrobnik. W piątki i świątki musi pilnować mozdzierza od rana do późnej nocy. Gdyby umiał rąbać drzewo lub węgle kopać, pewnoby porzucił aptekę.

Nauczyciel szkółki i redaktor gazety nie wiele lepiej stoi. Przez lat kilka karczował po farmach w Missouri i nawet na kolei żelaznej ponoć pracował. Widocznie wykształcenie jakie nabywają ludzie w europejskich szkołach nie popłaca w Ameryce.

Nazajutrz po poznaniu tych panów przeniosłem się do domu trzymanego przez niejakiego Poznańczyka. Za 4 dolary tygodniowo dostałem tu pół łóżka i wcale porządny pokarm.

Pan ten nie umie ani czytać ani pisać. Przed dziesięciu laty przybył do Ameryki za pożyczone pieniądze i znalazł pracę u pewnego fabrykanta ramek, Warszawianina.

Zarabiał 12 dolarów tygodniowo. Z tych tyle oszczędził iż sprowadził ze starego kraju dwóch braci, narzeczoną z którą się tu ożenił, jej matkę i siostrę. Znalazłszy lepszą płacę w małej podówczas mieścinie Berlin (w stanie Wisconsin) pojechał tam, kupił z czasem *lot*, zbudował dom i otworzył piwiarnię.

Dawny jego chlebodawca stracił swą fabrykę przez pożar. Znów ją odbudował i znów ogień ją zniszczył. Trzeci raz ją postawił za pożyczone pieniądze, i w krótce tak mu dobrze poszło iż i długi pospłacał i mógł porządnie wychować liczną rodzinę.

Nadchodzi wielki pożar w Chicago i niszczy go po raz trzeci do szczętu. Oprócz gruntu nic mu nie zostało, kilka nieszczęśliwych spekulacyi i gruntu go pozbawiło.

Sługa jego dawny wydzierżawia tym czasem dom w Berlinie i przyjeżdża na powrót do Chicago. Zakupuje nową własność za 6000 dolarów i otwiera inny salon. Poczciwina pomaga i radą i czynem dawnemu chlebodawcy, i zamierza go wesprzeć o tyle by mógł z niżej podpisanym waszym korespondentem otworzyć jaki handel w Berlinie.

Czyż nie ciekawe rzeczy zdarzają się w tym prozaicznym nibyto wieku i społeczeństwie?

Wejrzyjcie tylko głębiej w najniższe czy najwyższe warstwy społeczeństwa, w życie ludów i osób a przekonanie się, iż wiek 19-ty obfitszy, w dziwne zdarzenia, jak owe wysławiane czasy naszych pradziadów. Wszak dzieje mego gospodarza i chlebodawcy jego, starczyłyby na treść do powieści. Co to za pasmo wytrwałości tu nagrodzonej dobrobytem, tam w skutek zrządzeń Opatrzności nędzą!

Dziatwa tych rodziców w Ameryce bez wyjątku *szepleni*. Język ich wykręcony angielszczyzną nie może się włamać w nasze *sz, cz i szcz*. Tatko *nas* robi rękawiczki a ja *syję kosule na masynie*, mówi do mnie cudnie pięknie siedemnastoletnie dziewczę rękodzielnika warszawskiego, ubrane jak dama nasza, choć co dnia musi iść do pracy za półtora dolara. Inna jest buchalterem(rachmistrzem) w kantorze kupieckim i lepiej jeszcze płatna, choć mało co od niej starsza. Adwokat urodzony w Ameryce przesiadujący bardzo często w domu rodziców tej dziewczyny, zapewniał mnie iż *dobrze mu idzie business i że dopiero jest 22 lat stary*. Ani adwokat ani buchalter nie używają nigdy do czułych rozmów języka angielskiego. Przedwczoraj w padły mi do rąk ładne rymy przysłane buchalterowi na cześć czarnych jego oczu. Domyślam się po pismie i rymie iż adwokat nasz czasami zamiast skarg angielskich i wiersze ładne pisuje. Buchalter nie chce wierzyć że te rymy wysnuły się z głowy adwokata a wiedząc że ja czasami grzeszę wierszorobstwem, twierdzi iż ja je ułożyłem, adwokat zaś przepisał tylko.

Lecz nie myślcie, kochany Redaktorze iż pomimo mych usiłowań w zapoznaniu się z Polakami, zaniechałem i towarzystwo amerykańskie. Za pośrednictwem adwokata amerykańskiego z którym poznałem się w Szwajcaryi i którego adres w Chicago posiadałem, otrzymałem wstęp i do amerykańskich domów. Zaiste, mało różnią się one od angielskich jeżeli rodzina mieszka w własnym domu. Ten sam spokój, komfort i rodzinna czułość goszczą w parlorach tutejszych jak i w tamtych.

Niestety coraz więcej tutejszych rodzin zmienia tryb dawny życia i przenosi się do olbrzymich hotelów, by za pieniądze swe otrzymać jak najwięcej łakoci, by oszczędzić jak najwięcej z wydatków domowych na pozadomowe zbytki. Wielka to gangrena tutejszego społeczeństwa, ona to podkopuje republikańską prostotę. Cały swiętoszkowy purytanizm nie zbawi społeczeństwa w które się wkrada ohydny zwyczaj przenoszenia zbytkownych koszar hotelowych nad zacisze domowego ogniska. Dziś nie poznałem jeszcze podobnego życia dostatecznie, by się o niem obszernie rozpisać, zresztą czeka adwokat by mnie zawieść do parku na wyścigi; jako zagorzały zwolennik twefu (gonitw) rzucam pióro i wskakuję do jego kariolki.

Jednokonny to koczyk, klacz ciągnąca ją pełna krwi i ognia wytężonym pędzi kłusem. Kłusem takim podobno tylko amerykańskie chodzą konie, które prawie nie umieją galopować.

Gonitwy najznakomitsze tutejsze również kłusem się odbywają. Konie zaprzężone do dwukołowej wysokiej kariolki, nie ważącej pewno więcej jak cetnar i mieszczącej lekkiego dżokeja tylko, pędzą kłusem po arenie piasczystej. Gdyby który z nich wpadł w galop przegrywa zakład, zresztą kłus ten szybszy od wielu galopów.

Nie mogę Wam jeszcze opisać dokładnie gonitwy amerykańskiej, gdyż na wyścigu na który adwokat mnie zawiózł tylko jeden koń się popisywał.

— „Jakto, zapytacie, jeden koń tylko?
Cóż to za gonitwy?"

— Gonitwy przeciw czasowi.

Właściciel klaczy Goldsmith Maid (dziewczę złotnika) najsłynniejszej w Ameryce, zakłada się o dolarów pięć tysięcy iż klacz ta obiegnie w 2 minutach 16 sekundach angielską milę. Krok, kłus, miejsce; Dexter park w Chicago, dzień; Sobota.

Więc też w Sobotę wyrusza co żyje w mieście do Dexter park. Powozy paradne i jednokonki i nawet wagony chłopów przybywają ze wszystkich punktów miasta i prowincyi. Właściciele domów i banków awanturnicy żyjący li z gry, zakładów i oszustwa (a tu na nich nie zbywa) damy i demimonde, wszystko zdąża by ujrzeć jak Goldsmith Maid dokaże cudu, którego żaden amerykański koń nie dokazał dotąd.

Arenę mającą milę długości otacza koło widzów w powozach i pieszo. Wrzawa całej tej zgrai ucicha skoro klacz zaprzężona się zjawiła. Każdy dobywa zegarka i utkwiwszy oko we wskazówkę sekundową oczekuje niecierpliwie chwili, gdy spadnie chorągiew dająca znak do ruszenia z miejsca,

Spada chorągiew. Gniada klacz niepokaźna co do ciała, na nogach wyglądających cokolwiek grubo, rusza z miejsca. Taka cisza panuje pomiędzy gminem iż usłyszysz lekki szmer jej kopyt i warczenie kół kariolki. A przecież klacz tak lekko idzie i koła tak cicho się obracają, iż nie więcej robią szumu jak skrzydła lecącego ptaka.

Mija minuta jedna i druga, Klacz jeszcze daleko od mety. Dżokej nieoszczędza bata pomimo tego nie zdołał dobiedz przed domek sędziego aż w dwie sekundy po wyznaczonym czasie. Wtedy część widzów ta część która przeciw klaczy się założyła, wybucha głośnemi hurra, druga część poczyna ze smutną miną ganić zły stan areny i brak sprytu w dżokeju. Sędzia wreszcie ogłasza wyrok: Goldsmith Maid potrzebowała 2 minuty, sekund 17$^3/_4$ do ubieżenia mili.

Czy z pewnością 17$^3/_4$? Niektórzy myślą iż się pomylił o $^1/_8$ sekundy.

Jak dziwnie wygląda ta gonitwa amerykańska i jak prozaicznie nawet po naszych eurepejskich! Gdzież są owe konie dziarskie i wiatronogie, owi różni dżokeje wyglądający tak malowniczo w swych różnobarwnych kurtach? Cała poezya wyścigów znika przy tutejszych gonitwach, zostaje tylko brudna chęć robienia z nich gry hazardownej i wygrywania jak najwięcej pieniędzy.

Wracając do miasta i my odbywamy gonitwy z każdym powozem chcącym nas ominąć! Jeden jegomość krępy, brodaty, z obliczem nie angielskiem, prześcignął mego adwokata. Dopiero w mieście, gdy dla mnóstwa powozów nie możemy się ścigać, zrównały się obiedwie kariolki.

„Dzień dobry doktorowi." Woła adwokat.

„Dzień dobry panu„ odpowiada doktor z akcentem cudzoziemskim.

„To rodak pana, mówi do mnie adwokat, bo pochodzi z Galicyi."

Patrzę na doktora. Rysy uderzają mnie, jakieś dziwne wspomnienia przeszłości snują się po głowie.

„Na Boga, krzyczę, stój' to on, to on! Stają zadziwieni panowie. Ja wskakuję do powoziku doktora i uścisnąwszy go szczerze przypominam mu dawne koleżeństwo.

I on mnie poznaje. Wszak byliśmy kolegami szkolnemi. Przez lat kilkanaście siedzieliśmy na jednej ławie, często cięgi jednego dnia brali, często trawiliśmy razem długie chwile w chłopięcych igraszkach.

Piętnaście lat temu rozstaliśmy się. Jego los zaniósł na Wschód, a mnie po całej kuli ziemskiej.

Niedługo bawił on na Multanach. Gdy mu się tam źle wiodło wyprzedał się a przed ośmiu laty przybył do Chicago i założył małą aptekę, gdyż nauczył się aptekarstwa na Wschodzie.

Tu gdzie każdemu wolno w doktora się bawić i truć ludzi wedle upodobania i on począł leczyć. Leczył szczęśliwie, uzyskał wielką sławę i znaczny majątek. Ma kamienicę w Chicago i farmę w Illinois, sprzedaje je, wraca na przyszły rok do Galicyi i rodzinnego miasta. Opuścił je jako biedny uczeń aptekarski, wróci z kapitałem o jakim nawet nie marzył przed laty piętnastu. Chrześcijanie będą mu się kłaniali nisko, zazdrościli szczęścia, żydkowie nazwą go groisze purec, bo kilkadziesiąt tysięcy dolarów zrobionych zanim pierwsza młodość minęła gdzieś daleko za morzami, to rzecz nie codzienna dla mieszkańców naszej mieściny!

Bodajby więcej takich doktorów P... wracało do niej z dolarami amerykańskiemi. Potrzebuje go całe me zubożałe gniazdo.

A ty, wytrwały i szczęśliwy wędrowcze, któremu nieba tak hojnie wynagrodziły ten pobyt na obcej ziemi, ktory tak kochasz ojczyste gniazdo iż doń wracasz skoro zdołasz, szczęść ci Boże i nadal, czy tu, czy w Europie!

Oprócz Szlązaków mnóstwo też Czechów, Szwedów, Duńczyków i Włochów w Chicago. Niemcy tworzą trzecią część ludności miasta, Irlandczyków nie wiele mniej, Amerykanów pochodzenia angielskiego lub z rodzin zanglicząłych nie ma tu więcej podobno jak 100,000. Każda narodowość zorganizowana wiąże się w towarzystwa i ma swe Kościoły, szkoły, czytelnie i zakłady dobroczynne.

Przy takim podziale ludności, starcia narodowe bywają częste. Amerykanie, niechętnie patrzący na Niemców, i stojący pod wpływem purytańskim i towarzystw wstrzemięźliwości, dotychczas dzierżyli w ręku rząd miasta i stanu Illinois. Partya republikańska składająca się z nich po większej części, straciła jednak wiele siły w ostatnich latach. Dawniej i wolnomyślni przybysze ją zasilali, lecz odstrychnął ich fanatyzm purytańskich sprzymierzeńców. Przymusowe zamykanie piwiarni i miejsc do zabaw w Niedzielę, wybieranie na urzęda miejskie ludzi słynnych nibyto z pobożności a mimo to okradających kasę w sposób zgrabny lub wyzyskujących swe stanowisko na osobiste cele, połączyło obywateli pochodzenia europejskiego przeciw republikanom. Jak w całej Ameryce tak i tu rozchwiał się dawny podział stronnictw, republikanie mniej coraz liczni, demokraci również w nieładzie; a nowe stronnictwo nazywające się people's party (narodowe stronnictwa) podnosi głowę.

Dotychczas nie rozpatrzyłem się jeszcze w stosunkach politycznych i socyalnych tutejszych do tego stopnia, bym mógł stanowczo wyrokować o stronnictwach tych lub nawet dokładnie je przedstawić. Sprawę tę pozostawiam więc do późniejszych listów, tymczasem tylko wypowiem moje zdanie, iż jeżeli Amerykanie nie zaniechają *szykan* niedzielnych i jeżeli republikanie upojeni tyloletniem staniem u steru nie oczyszczą urzędów z pijawek wyzyskujących popularność swą, by cały naród zarażać świętoszkowstwem w mowie a nieuczciwością w stosunkach handlowych, to i Irlandczycy i inni cudzoziemcy radzi nieradzi muszą się rzucić w objęcia Niemców.

Szykany niedzielne dochodzą do tego stopnia, iż przebrani policyanci wciskają się do salonów przez tylne drzwi otwarte w Niedzielę dla dobrych znajomych i korzystając z łatwowierności gospodarza wypijają szklankę piwa i wręczą mu za nią 5 centów. Nazajutrz dostawiają mu pozew od sądu oskarżający go o wyszynk piwa w dzień święty. Za ten występek skaże go sędzia na 25 dolarów grzywny, gdyby zaś po raz drugi i trzeci go się dopuścił odbiorą mu pozwolenie szynkowania trunków, pomimo iż zapłacił za nie podatek wynoszący sto dolarów rocznie.

Urzęda gminne wydają pozwolenia takie bez ograniczenia tak że trzeci dom na Milwaukee Avenue stał się szynkownią, później zaś prześladują gospodarzy w sposób nikczemny.

W przyszłych listach obszerniej się rozpiszę o liczebnym stosunku, i sposobach zarobkowania rozmaitych narodowości składających ludność Stanów zachodnich w Ameryce.

Teraz ograniczę się na wzmiance już umieszczonej o Szlązakach.

Dodam tylko iż żydom naszym wcale tu do Niemców nie lgnącym, dobrze się wiedzie, mianowicie w drobnym handlu. System amerykański pedlowania (noszenia towarów od domu do domu) wielce odpowiada ich zwyczajom.

Włosi jak u nas tak i tu poświęcają się sztukom pięknym grając na katarynkach i roznosząc figury gipsowe. Wielu z nich trudni się żebraniną, pomimo srogich zakazów policyjnych. Dobre to musi być rzemiosło gdy właśnie obecnie procesuje się przed sądem w Chicago ojciec z córką o 20000 dolarów, zebranych w wspólnych włóczęgach po ulicach miasta w przeciągu lat 8. Gdy ojciec pojechał do Europy *dla rozrywki* córka poszła za mąż *z miłości* i zagrabiła dolary.

Zbyt długi mój list kończę kilku uwagami o wystawie narodowej w Chicago, największej jaką widziały Stany Zjednoczone od czasu wystawy w Nowym Yorku.

Spory pałac wystawy bez smaku zbudowany z cegły, drzewa i szkła nibyto w guście odrodzenia pokrywa przeszło morg ziemi. Pomimo iż widziałem wystawę wiedeńską, zajęła mnie wielce doborem i doskonałością ziemiopłodów i maszyn rolniczych. Owe słynne żniwiarki *Mac Cormicka* wyrabiane w Chicago którym przyznano w Wiedniu pierwszą nagrodę, kosztują tu w miejscu 190 dolarów czyli 950 franków; bez przyrządu do składania snopów otrzymalibyście je za 120 dolarów.

Chicago słynie także po całej Ameryce z wyrobu zegarków. Od lat kilku zegarki tutejsze konkurują ze szwajcarskiemi co do doskonałości i taniości nawet w Europie. Na wystawie liczne ujrzałem dowody na jak wielką stopę odbywa się robienie zegarków za pomocą maszyn, gdyż kilka fabryk przysłało tu swe warsztaty. Nad każdym warsztatem pracuje kilkanaście młodych i przystojnych dziewcząt dla ściągnienia uwagi widzów.

Trudnoby opisać proces wyrobu tych pięknych i użytecznych świecideł, by zbadać całą piękność robót, pojąc ile cierpliwości wymaga wykończenie każdej cząstki zegarka.

Trudna to rzecz do wiary lecz prawdziwa, iż małe pudełko na pół cala szerokie a na cal długie mieści kilkadziesiąt tysięcy *kamieni* policzonych ręką ludzką, że tu mają miary do mierzenia $\frac{1}{2500}$ cala, że błąd w wyrachowaniu na $\frac{2}{2500}$ cala zepsułby całą dokładność zegarka i może dobre imie pracowni.

Nie chcąc się rozpisywać dłużej o rzeczy tak dziś codziennej jak wystawa, zakończę wzmianką o dobroczynności mieszkańców tutejszych. Gdy za pomocą otwarcia gmachu wystawy przez jeden dzień na cel szlachetny, chciano zebrać małą pomoc dla południowych miast Memfis i Shreveport w których grasuje żółta febra do tego stopnia iż wyludniła je prawie, pałac wystawy nie mógł zmieścić wszystkich spieszących do jego wnętrza by tam złożyć pół dolara na korzyść nieszczęsnych ofiar niezdrowego klimatu. Byli tacy którzy płacili po 5 i 10 dolarów za wstęp, niektórzy po 100 i 200. Z miast oddalonych o kilka godzin drogi koleją żelazną przybywały pociągi pełne szczodrych dawców, kilkadziesiąt tysięcy dolarów posłano do Memfis w skutek tej ofiarności. Prawda iż i Memfis złożyło 42000 dolarów na korzyść Chicago po owym okropnym pożarze.

Wracając z wystawy omal nie wpadłem pod koła lokomotywy. Wieczór był chmurny, ciemny i zimny gdyż indyjskie a u nas zwane babskie lato zbliża się ku końcowi, burze północne wiać poczynają ku wielkiej szkodzie żaglowców krążących po jeziorach. Ludziom przyzwyczajonym do ciepłych klimatów nie służy północna część Stanów, gdzie już w Październiku ostre panują mrozy.

Szedłem środkiem ulicy. Raptem potknąłem się o szynę żelazną, zanim wstałem usłyszałem dzwon i turkot pociągu. Rzuciłem się w tył w mgnieniu oka, lokomotywa minęła o 6 cali ode mnie. Taki wypadek może się wydarzyć każdej osobie w tem półmilionowem prawie mieście, gdzie wolno puszczać pociągi po ulicach publicznych; co tygodnia też czytam w gazetach iż tu lub tam lokomotywa zabiła przechodnia. Nawet pociąg ów którym jechałem z Nowego Yorku do Suspension bridge, zabił człowieka przechodzącego przez szyny jak się później dowiedziałem. Prawa tutejsze tak sprzyjają towarzystwom kolejowym iż nie zmuszają ich do trzymania strażników z sygnałami ani przy mostach, ani gdzie drogi krzyżują się z kolejami. Proste ostrzeżenie „ Look out for the cars (patrzaj czy kary nienadchodzą) zastępuje na krzyżowych drogach miejsce strażnika.

Często się zdarza iż bydło zawałęsa się na kolei jednak przyrząd jak wachlarz olbrzymi przytwierdzony do przodu lokomotywy zwany *Cowcatcher* (łapi- krowa) rzuci najtęższego wołu z kolei i chroni wagony od wypadku.

Gazety tutejsze lubią donosić czytelnikom o wypadkach kolejowych. Każda z nich sili się by opisać w jak najokropniejszy sposób runięcie wozów, jęki rannych i okropne postacie zabitych. Nawet z każdego drobnostkowego wypadku snują długie artykuły napstrzone szumnemi pochwałami korespondentów, którzy umieli schwycić nowinkę i opisać ją zanim inny dziennik o niej się dowiedział.

Czytając taką gazetę wychodząca w prowincyonalnych miastach amerykańskich, nie mogę się wydziwić zkąd wydawcy tutejsi dostają tylu utalentowanych pisarzy i jak pisarze ci nie wstydzą się marnować widocznych zdolności na artykuły kłamliwe, zjadliwie i pisane w stylu tak napuczonym. A że mogliby pisać inaczej dowodzą inne części dziennika, gdzie nowiny nie polityczne lub nie ze świata kryminalnego, wcale przyzwoicie i zręcznie podają.

Oto naprzykład próbki stylu i sposobu doniesienia o śmierci osoby dobrze znanej.

Zginął pogromca Indyanów.

I. H. Townsend porzucił dom swój w Agua Aria w Stanie Arizona. przyrzekając żonie i dziatwie płaczącej iż wróci jutro.

Nie wrócił tej nocy

nie wrócił i na drugą noc

Trzeciego dnia rumak jego przybył bez jeźdzca do domu! Przyjaciel wiedząc iż De Cze, wódz pokolenia Apaszów (Indyan) upędzał się po stepach jak lew szukający kogo by pożarł, poczęli szukać jeźdzca.

Koło źródeł.

znaleźli jego ciało. Kula przeszyła na wskroś pierś waleczną.

Apasze zabili

groźnego im Europejczyka. Lecz zanim poległ pewno doznał rozkoszy zemsty, gdyż trzy lufy rewolweru jego były wystrzelone a strzelał tak jak stary Dawid (sic)

Tak poległ

mąż dzielny, powszechnie znany i szanowany, wróg zacięty czerwonej rasy.

Trzydzieści sześć miedziano skórców wyprawił on własnoręcznie na szczęśliwe łąki gdzie polują bohaterowie indyańscy. Do tej liczby nie włączamy owych których pewno zastrzelił zanim sam usnął snem wiecznym.

W ten sposób połowę gazety zadrukowali!

Rozpisałem się o Ameryce, Kochany Redaktorze i patrząc na sporą pakę papieru zajętego opowiadaniem wrażeń, mimowolnie opuszczam pióro i dziwię się w jaki sposób i kiedy nagromadziły się te arkusze. Pisałem urywkowo w chwilach kradzionych od innych zajęć, opisując zdarzenia jakie mogłem zapamiętać i widoki które zwróciły mą uwagę.

Jeżeli opowiadania me zdają się Wam urywkowe, nieogładzone, niezajmujące, wybaczcie mi, nie mam czasu do wygładzania mych gawęd. Niechaj wierność opowiadania wynagrodzi za ich małą wartość literacką. Nikt przynajmniej nie zarzuci mi co niejaki Niemiec aptekarz, zarzucał Gerstekerowi, którego znał osobiście i dobrze:

Gerotcher opisywał życie stepowe i leśne w Ameryce chociaż tam z miasta się nigdy nie ruszył".

Choć zbyt czczę pamięć wielkiego podróżnika by uwierzyć słowom aptekarza, zanim zacznę pisać o stepach, górach i Indyanach, przypatrzę się im dobrze.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Ze Lwowa.

(Dokończenie).

P. Stanisław Tarnowski należy do Sejmu krajowego i ztamtąd otrzymał impuls do napisania swojego artykułu. Tego roku bowiem sejm bardzo gorliwie zajmował się środkami zaradczemi przeciw lichwie żydowskiej, która z przerażającą szybkością wyzuwa naszego włościanina z ostatniej skiby ziemi, z ostatniej sztuki bydła. Na nieszczęście ustawodawczy zakres działalności sejmu nie wystarcza na stanowcze zaradzenie złemu. Rada państwa przed sześciu laty uchyliła z ustawy karnej postanowienie wzbraniające lichwy, do niej więc należy wskrzeszenie tych postanowień. Sejm mógł tylko wezwać rząd do wzięcia inicyatywy w tym kierunku i uczynił to istotnie w sposób niezwykły. Za uchwałą bowiem w tym duchu stylizowaną powstała jednozgodnie cała Izba: Rusini, szlachta i włościanie, a nawet dwaj posłowie wyznania mojżeszowego nie stanowili wyjątku. Marszałek sejmowy urzędownie potwierdził jednomyślność uchwały a fakt ten powinien niemało zaważyć na szali postanowień rządowych. Jeżeli bowiem mimo licznych i drażliwych sprzeczności, które sejm nasz dzielą na kilka nieprzyjaznych sobie obozów, uchwała potępiająca lichwę uzyskała wszystkie głosy, to widać, że sprawa ta jest niezmiernie ważną dla dobra kraju i tak załatwioną być powinna, jak wskazuje głos ogółu, opinia publiczna w szlachetnem i prawowitem tego słowa znaczeniu. Nasi deputowani w Radzie państwa, podnieśli ją ze swojej strony w centralnym parlamencie. Tutaj także zaszedł ten niezwykły wypadek, że wniosek podpisali w zupełnej zgodzie ze sobą deputowani galicyjscy wszelkiej narodowości, chociaż w przeddzień podpisania wniosku dwa główne obozy starły się ze sobą w drażliwy sposób na arenie parlamentarnej z powodu postępowania krajowej rady szkolnej.

Czy te wszystkie szlachetne usiłowania odniosą skutek pożądany, o tem można słusznie powątpiewać. Zniesienie przepisów karnych o lichwie, uważa dzisiejsza większość parlamentarna, za ważny postulat liberalizmu w własnem ale nie zupełnie trafnem tego słowa pojęciu. Liberalizm w wiedeńskiem znaczeniu wywołał w polityce panowanie kilka milijonów Niemców, nad kilkunastu milijonami Słowian, w stosunkach wyznaniowych poniżenie kościoła a w stosunkach społecznych słynne przesilenia giełdowe, oszustwa pokryte płaszczykiem niewinnych spekulacyi, lichwę i t. d. Nie zbaczając dalej na pole rozleglejsze zatrzymujemy się jeszcze na tej ostatniej sprawie. Chociaż, jak powiedzieliśmy, nie spodziewamy się, ażeby w parlamencie wiedeńskim wniosek podpisany przez wszystkich galicyjskich posłów, odniósł skutek szybki i pomyślny, to zawsze pocieszamy się nadzieją, że rozpoczął się już korzystny zwrot opinii kół decydujących. Niemieccy liberały myślą, że cała ludność Galicyi domaga się wznowienia ustaw karnych przeciw lichwie jedynie dla tego, ażeby pofolgować zawiści ku żydom i popsuć im interesa pieniężne. Tymczasem, wydarzył się w Wiedniu wypadek, który mógł nawet zaślepionych przekonać, że żydzi galicyjscy w nieludzki sposób nadużywają swobody w liczeniu procentów. Przed kratkami sądu karnego w Wiedniu, stawał nie dawno żyd galicyjski Gezel Wilkenfeld z dwoma synami i wraz z nimi skazany został na ciężkie więzienie za cały szereg oszustw, które wśród rozprawy publicznej wywoływały w liberalnem auditorium głośne objawy oburzenia. Ów galicyjski Wilkenfeld jest typem naszych lichwiarzy. Pożyczał biednym urzędnikom w Wiedniu kilka albo kilkanaście guldenów na dwa wexle, z których jeden opiewał na kwotę pożyczoną wraz z bajecznym procentem a drugi na kilkaset złr., jako postrach dla wierzycieli i według umowy stawał się ważnym dopiero w razie niedotrzymania terminu. Tymczasem jeszcze przed upływem terminu oba weksle szły w obieg i biedny urzędnik został zniszczony w całem tego słowa znaczeniu. Wszelkie wyobrażenie przechodzi cynizm wyrafinowany, z jakim ów Wilkenfeld przy pomocy dwóch nieodrodnych synów gnębił nieszczęśliwe ofiary lichwy. A przecież w kołach prawniczych odzywały się głosy, że w obec dzisiejszych ustaw nie wzbraniających lichwy, postępowanie Wilkenfelda nie ma ścisłych znamion oszustwa. Obrońca Wilkenfelda przed sądem przysięgłych nie wahał się nawet oświadczyć, że kryminalna kondemnata jego klienta byłaby pogwałceniem prawa, że Wilkenfeld jest nikczemnikiem godnym najwyższej pogardy ale nie zbrodniarzem w myśl austryackiego kodeksu karnego. Sumienie sędziów przysięgłych nie poszło za tą niebezpieczną radą. Wyrok ich uznał lichwiarzy winnymi zbrodni oszustwa a tem samem ocalił ich nieszczęśliwe ofiary od prawnych następstw, na które w przeciwnym razie naraziłyby je podpisane weksle.

W całym Wiedniu proces ten sprawił silne wrażenie. Sala sądowa była daleko pełniejszą niż galerye parlamentu a dzienniki pierwszorzędne nie wahały się poświęcić wyr kowi wstępnych artykułów. Starały się one uśmierzyć wzburzenie umysłów, które wywołać mogło refleksye wcale nie liberalne. Jest jeszcze jeden ciekawy szczegół w tym procesie. Gezel Wilkenfeld pochodzi jak powiedzieliśmy ze Lwowa i należy do starowierców przestrzegających starannie charakterystycznej odrębności swojego stroju. Ludność niemiecka nazywa takich żydów „polskimi“ a dziennikarstwo nadużyło jeszcze więcej tej nazwy, nadając ją tylko tym żydom galicyjskim, którzy stają przed kratkami sądu wiedeńskiego obwinieni o oszustwo albo inne zbrodnie plamiące. Kto czyta w wiedeńskich dziennikach sprawozdanie z Izby sądowej i na nich zupełnie polega, może uważać wyraz „polski żyd“ za synonim oszustwa. Całkiem inaczej nazywają w Wiedniu tych żydów naszych, którzy tak szczęśliwie oszukują w kraju, że nie weszli jeszcze w otwartą kolizyę z prawem karnem. Taki żyd jest Niemcem chociaż nosi długą kapotę, zalicza się do stronnictwa liberalno-konstytucyjnego, bo przy ostatnich naszych wyborach do Rady państwa nie głosował na kandydatów przez ogół obywateli wskazywanych.

Może ten proces Wilkenfelda otworzy oczy wszystkim Niemcom, którzy idąc za nawoływaniami żydowskiej prasy w Wiedniu posądzają nas o brak tolerancyi. Galicya posiada w każdej wsi jednego a w każdem małem miasteczku kilku takich Wilkenfeldów, więc cóż dziwnego, że niechęć do tej części naszego społeczeństwa wzmaga się ustawicznie i że dziennikarstwo pragnąc zniszczyć kwitnące rzemiosło lichwiarskie, z całej siły zachęca ludność chrześcijańską do przemysłu i handlu, ażeby tym sposobem złamany został monopol usankcyonowany naszem dotychczasowem niedbalstwem.

Gdybym się tutaj powodować miał osobistemi pobudkami a nie względem na czytelników, nie pisałbym o naszym teatrze przynajmniej pół roku. Tyle czasu bowiem niezawodnie upłynie, zanim sprawa ta zostanie uregulowaną a są pesymiści, którzy wierzą że pozostanie ona zawsze w stanie dzisiejszego rozstroju. A rozstrój ten doszedł do takiego szczytu, że dyrekcya jest bliską rozpaczy i niewypłacalności. Sprawa bowiem wpadła w tak szalony wir rozmaitych pretensyi, uroszczeń i praw, że może pomoc wszystkich lwowskich prawników, okazałaby się w tym wypadku niedostateczną. Gdzież jest źródło tego rozstroju? Tkwi ono w tym opłakanym fakcie, że u nas interes prywatny pewnych osobistości może nadać sprawie publicznej kierunek zgubny i fałszywy. Śmiało i otwarcie powiedzieć można, że cała odpowiedzialność za ten stan rzeczy cięży na p. Janie Dobrzańskim, redaktorze Gazety Narodowej. Od chwili, gdy ustąpił z dyrekcyi p. Adam Miłaszewski, dla sceny naszej stał się p. Dobrzański prawdziwie złym duchem. Jego to był pomysł, ażeby dyrekcyę objęła spółka ludzi po części nawet obojętnych dla spraw teatralnych, jego to dziełem jest owo zabawne towarzystwo akcyjne, które miało stać się właściwym dzierżawcą teatru. Spółka i towarzystwo miały być tylko środkami do celu, bo każdy przewidywał, że się to rozsprządz musi. Jakoż istotnie rozsprzęgła się spółka ale nie całkiem w ten sposób, jak sobie ułożył p. Jan Dobrzański. Nie on bowiem pozostał panem teatru lecz nowa spółka złożona z artystów, do której należał jego syn p. Stanisław Dobrzański. W tej zmianie znowu tkwił zaród nieporozumień i zatargów, które wybuchły w sposób skandaliczny, gdy rząd koncesyę na przedstawienia wystawił na imię jednego członka spółki a mianowicie p. Władysława Woleńskiego. Co się tam działo za kulisami, kto był wyzywającą stroną — tego nie wiemy, dość na tem, że w kilka tygodni po wydaniu tej koncesyi i ukonstytuowaniu się spółki artystów p. Stanisław Dobrzański usunął się ze sceny a p. Jan Dobrzański ojciec jego wypowiedział dyrekcyi śmiertelną walkę w swoim dzienniku.

Nowa dyrekcya Hubert Woleński i Konarski objęła czynności pod nieszczęśliwą gwiazdą. Publiczność znużona i zniecierpliwiona ciągłemi zatargami w teatrze Skarbkowskim, domagać się zaczęła natarczywie porządku i ustalenia stosunków a to właśnie było zadaniem najtrudniejszem. Najpierw żaden z dyrektorów z osobna i wszyscy razem nie posiadają potrzebnej kwalifikacyi artystycznej i funduszów niezbędnych do uregulowania przedsiębierstwa a powtóre nowa spółka nie mogła rozwiązać swojego stosunku z p. Konarskim, który pozostał wiernym p. Stanisławowi Dobrzańskiemu. Z dwóch stron wymierzono atak na nową dyrekcyę. Gazeta p. Dobrzańskiego zaczęła systematycznie zniechęcać publiczność do przedstawień a w gronie artystów wybuchła domowa wojna zakończona ustąpieniem kilku zdolnych i użytecznych artystów.

Teraz dopiero zaczęły się gorzkie chwile. W kasie teatralnej zapanowały pustki, wydział krajowy uczynił subwencyę zawisłą od zdania komisyi artystycznej a ta dopiero po Listopadzie przyrzekła wypowiedzieć swoje zdanie o scenie dzisiejszej. Zrozpaczona dyrekcya zwołała zgromadzenie literatów, dziennikarzy i innych osób zajmujących się teatrem. Na tem zgromadzeniu odsłonięto opłakane niedobory: cały szereg wewnętrznych rozterek, wzajemnych rekryminacyi i t. d.

Co do tych rekryminacyi zgodzono się na sąd polubowny a pustki w kasie zapełniono chwilowo cząstką subwencyi krajowej uzyskanej, od wydziału krajowego tylko pod presyą przedstawienia, że artyści nie otrzymują gaży a tem samem wiele rodzin cierpieć będzie niedostatek. Wobec takich wypadków opłakanych pesymiści zapowiadają, że wszystkie te zawikłania skończą się najprędzej katastrofą t. j. chwilowem zamknięciem przedstawień, rozwiązaniem kontraktu z dyrekcyą dzisiejszą i rozpisaniem konkursu na przedsiębierstwo teatralne. Z niekompletnym personalem artystycznym, z żywiołami wiecznej domowej wojny dyrekcya chyba jakimś nadzwyczajnym sposobem mogłaby uniknąć tej katastrofy.

Ale właśnie w ostatnich dniach wszystko zaczęło się zwracać na lepsze. Dyrekcya pozyskała dla sce-

ny znakomitego artystę Bolesława Ładnowskiego i kilka osób nie głośnych jeszcze ale wielce pożytecznych, komisya artystyczna uznała, możność wypłaty dalszej subwencyi dla teatru. Zarazem wytknęła usterki w dzisiejszem kierownictwie sceną i wskazała środki zaradcze. Publiczność zachęcona tym zwrotem tak pomyślnym, zaczyna już daleko częściej uczęszczać do teatru. Jest to dopiero początek i daleko jeszcze do stałego uporządkowania stosunków, ale mówią że początek bywa zawsze najtrudniejszym.

W każdym razie głos moralności publicznej dopomina się o to, ażeby nie tryumfowała osobista niechęć i nadużywanie spraw publicznych w celach osobistych t. j. ażeby dyrekcya nie wpadła znowu w ręce pp. Dobrzańskich. Mamy wszelki szacunek dla dramatycznego talentu p. Stanisława Dobrzańskiego, pragniemy szczerze jego powrotu na scenę ale nie życzylibyśmy teatrowi, ażeby napowrót dostał się pod jego dyrekcyę. Taki wypadek bowiem przedłużyłby w nieskończoność dzisiejsze swary i wojnę domowe.

W chwili, gdy teatr nasz znajduje się w tak opłakanym stanie, że codziennie szamotać się musi z najpilniejszemi potrzebami znaleźli się dziennikarze którzy radzą nie mniej i nie więcej, jak tylko podniesienie sceny odrazu na stanowisko zagranicznej doskonałości. Niech teatr przejdzie na fundusz krajowy i miejski, niech Sejm krajowy i Rada miejska uznają scenę za zakład krajowo-miejski a skończą się raz na zawsze wszystkie te kłopoty!

Generalna rada! ale to bieda, że nie jest nową i nieda się wykonać. Nas zawsze nęcą przykłady zagraniczne tak dalece, że z dziwną lekkomyślnością zapominamy zupełnie o niezaspokojonych pierwszych potrzebach o nędzy wyzierającej na każdym kroku. Fundusz krajowy płaci tysiące dla podniesienia sceny chociaż na ostatniej sesyi tenże z żalem powiedzieć sobie musiał, że trzeba sie wyrzec wielu a wielu najpilniejszych wydatków, bo w przeciwnym razie ludność nie wytrzymałaby wygórowanych podatków krajowych. Fundusz miejski także w tej chwili nie zechce i nie może nawet słyszeć o tym projekcie. Wszakże rada miejska obawia się że może nie będzie mogła korzystać z niezmiernie ważnego wniosku rządu, który gotów jest założyć we Lwowie czwarte gimnazyum jeżeli gmina pzyjmie na siebie dostarczenie lokalu, oświetlenia i 1000 złr; na przybory naukowe. A trzeba wiedzieć że czwarte gimnazyum jest dla naszego miasta tak potrzebnem, jak powietrze! Zresztą scena nasza nie może mieć na razie żadnych pretensyi do funduszów publicznych. Sejm wyznaczył jej w tym roku pomoc cztery razy większą od pobieranej dotąd a jeżeli to jej nie wystarcza, to niech za to odpowiadają osoby uważane za autorów wszystkich swarów i rozterek zakulisowych. Miłaszewski miał bardzo wielką subwencyę, walczył z nieznośnym a dziś już zniesionym przywilejem sfery niemieckiej i mógł dawać rocznie zaledwie sto przedstawien, a mimo to po ustąpieniu z dyrekcyi był zamożniejszym niż przy jej objęciu. Prawda że za Miłaszewskiego teatr uważany był jedynie za przedsiebiorstwo chlebodajne, że zapominano o kardynalnych wymaganiach artystycznych, ale wypadek ten zawsze dowodził, że publiczność lwowska może utrzymać teatr. Zresztą kto wie czy w tej chwili stan sceny naszej jest o wiele lepszym niż za czasów Miłaszewskiego. O tem zaczęły już wątpić najwięksi niegdyś przeciwnicy byłego dyrektora.

W świecie literackim zaszedł tu jeden skandalik z którym dziennikarstwo bardzo prędko się ułatwiło, chociaż zdaniem mojem zasłużył on na bliższe rozpoznanie. Dr. Zygmunt Samolewicz profesor gimnazyalny znany z wielu rozpraw filologicznych wydrukował w roczniku akademii umiejętności w Krakowie rozprawę o Platonie. Ponieważ umiejętność filologiczna jest u nas bardzo mało uprawianą więc rozprawa ta spotkała się na wstępie z samemi pochlebnemi rozbiorami. Dopiero *Tydzień* podał obszerną recenzyję dr. Skorskiego który wykazał autorowi, że jak na samoistnego badacza zanadto zapożyczał się u filologów niemieckich, że rozprawa jego jest tylko kompilacyą z dzieł niemieckich i do tego kompilacyą taką, która pozorami samodzielnego badacza ukrywa w sobie częto dosłowne przekłady niektórych ustępów z dzieł niemieckich. Recenzya napisana była w ten sposób, że nawet niefachowy czytelnik mógł nabyć z niej przekonanie, iż rozprawa dr. Samolewicza istotnie nie zasłużyła na nazwę samodzielnej pracy naukowej. Krytyk bowiem popierał każdy swój zarzut przytoczeniem źródła a nawet dosłownem przytoczeniem ustępów niemieckich zaraz obok równobrzmiących ustępów rozprawy. Ton krytyki był dość umiarkowany a w każdym razie wcale przyzwoity.

Za to wszystko doczekał się sumienny krytyk surowej nagany w pewnym organie lwowskim, który wbrew wszelkim popartym zarzutom stanął gołosłownie w obronie dr. Samolewicza i wcale nie bierze mu za złe, że zapożyczył się u filologów niemieckich. Dwa szczegóły rażą bardzo w tej obronie. Najpierw pozwala ona pisarzom z pretensyami do stanowiska uczonych, korzystać z dzieł innych w takim stopniu jaki tylko dozwolony być może kompilatorom; a powtóre za podstawę wyroku uważa stosunki, które w sprawach nauki żadnej nie mogą odgrywać roli. Ów nieszczęśliwy obrońca dr. Samolewicza zarzuca dr. Skorskiemu, że jest młodym a co gorsza, że był kiedyś uczniem dr. Samolewicza. Odkądże metryka, świadectwa szkolne mają decydować o wartości krytyki? Czyż nie przynosi to zaszczytu krytykowi, że sumienną pracą zdobył sobie zapas wiedzy upoważniający go do rozbioru działu dawnego nauczyciela swojego? Jeżeli przyjmiemy zasadę, że krytykom wolno tylko rozbierać dzieła autorów młodszych, to w takim razie zrzekniemy się i tych nielicznych sił krytycznych, które obecnie posiadamy.

Na szczęście ów artykuł z obroną pojawił się w fejletonie dziennika, który codziennie obdarza czytelników swoich tylu niedorzecznościami, że niemoże już wywierać znaczniejszego wpływu. Zwłaszcza fejletonista tego dziennika pozbawił się już dawnego wpływu dziwactwem swoich poglądów i uprzedzeniami, które nie przestają być nienagannemi, chociaż mają często pobudki godne uznania. Artykuł z podobną dążnością napisany w poważnym i wpływowym organie mógłby wywrzeć skutek demoralizujący i niebezpieczny, z właszcza w tej chwili, gdy tylko surowem karceniem wszelkich choćby najniewinniejszych plagiatów należy zapobiegać szerzącemu się u nas lekceważeniu własności literackiej i pojmowaniu zawodu literackiego. W każdym razie nie dobrze to świadczy o naszych stosunkach literackich, że artykuł któremu ten ustęp poświęciliśmy, pozostał bez odpowiedzi. Na cóż założono w ostatnich czasach aż dwa pisma literackie, z których każde rości sobie prawo do szumnej nazwy ogniska literackiego w Galicyi?

Dr. B. Ł.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani A. R. Dolmany wychodzą już z mody, natomiast noszą paletoty z przedłużonemi przodami, z tyłu pół wcięte, zwykle czarne, z syberyny, weluru i matelacé. Cena od 25 rs. najmniej.

Kaftaniki bez rękawów zwane *cuirassier* nadzwyczaj są w użyciu, łabędzi puszek tylko do salonu stosowny.

Buciki wysokie zawsze są najulubieńszem obuwiem, nie mniej dla osób które lubią nogę mieć więcej swobodną; pól-trzewiki z maleńkiemi jako balowe, a z dużemi jako wizytowe kokardami, są w użyciu. Na ulicę zawsze buciki właściwsze. Ślubne trzewiki tylko robią białe wysokie, na przodzie sznurowane. Balowe mogą bydź w kolorze sukni.

Bluza flanelowa w miarę przyboru i fasonu kosztuje od 15 do 25 rs.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Strojne domowe ubranie. Spódnica sukni wełnianej ciemno granatowego koloru, oszyta jest dwiema plisowanemi falbankami, zakończonemi u góry szeroką bufą. Vêtement z przodu otwarte, oszyte plisowaniem z wązkim nagłówkiem, przybrane strojnie kokardami, z szerokiej rypsowej wstążki, z których boczna przepięta klamrą z konchy perłowej. Fałdowana falbanka i plisa, stanowi garnirunek rękawów i kołnierza.

Fig. 2. Ubranie spacerowe. Jasno oliwkowe wełniane vêtement, dopełnione jest spódnicą i rękawami z materyi faille tegoż koloru; garnirunek *vêtement* stanowią szerokie plisy i kokardy jedwabne. Plisowane falbanki przy spódnicy układane są na przemian z materyału wełnianego i jedwabnego.

Oliwkowy filcowy kapelusz, przybrany gazowym welonikiem i kwiatami.

Prenumerata kwartalnie wynosi:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

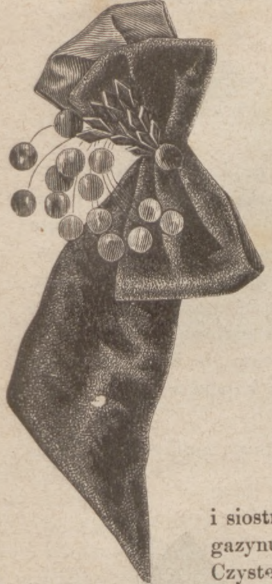
Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. *Ulica Żabia Nr. 956.*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami, rycina kolorowa i Spis rzeczy.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

O UBIORACH.

Nadchodząca noworoczna kolęda nastręcza nam sposobność polecić szczególniej panom, którzy zwykle w niemałym są kłopocie w wyborze podarunku żonom, córkom



i siostrom swoim, śliczne wyroby z magazynu pań Wilczyńskich przy ulicy Czystej N. 2 które bardzo odpowiedniemi a zarazem praktycznemi będą upominkami.

N. 3. Kokarda z agrafką, do głowy lub do kapelusza.

Przepyszny i różnorodny wybór kokard na uwagę zasługuje. W wyborze tym łatwo znaleść to co komu może być do twarzy, zadosyć uczynić potrzebom toalety i wieku.

Śliczne kokardy ułożone z wielkim gustem pomysłu i doborem kolorów z samej tylko wstążki, są od ceny rs. 1 kop. 50 garnitur złożony z dwóch kokard jednej do włosów, drugiej do stanika. Inne droższe są z koronką, kwiatami, a najoryginalniejsze okrągłe kokardy, z wpiętym w środku różnobarwnym koliberkiem, którego połysk całe upięcie ożywia. Opaski i diademy aksamitne z przepysznemi i bogatemi ozdobami z dżetu, wielce są poszukiwane.



N. 1—2. Balowe ubranie głowy.

Liczne krezy niepoślednie również miejsce zajmują, a między niemi króluje zupełnie w nowym rodzaju obmyślona kreza z przystrojem z piór strusich w cenie 7 rs. Piękne krezy z koronki Valenciennei z maligne, przybrane czarnym aksamitem lub kolorową materyją z odpowiedniemi mankietami i kokardą na głowę, świeżo i modnie dopełniają całej toalety. Pełny taki garnitur wybrać można na rozmaite ceny, prostotą zaś swoją zwrócić musi uwagę.



N. 4. Upięcie z kwiatów i piór na głowę.

milutki garniturek z cieniutkiego szwajcarskiego muślinu w cenie jednego rubla sr.

Dla starszych osób napełnione są półki eleganckich czepeczków, zastosowanych do różnego wieku i różnej toalety, począwszy od ślicznych negliżyków aż do strojnych balowych upięć z kwiatów i piór z barbami, fanszonami i koronką.

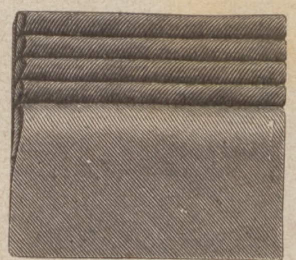
Równie praktyczny upominek a także w każdej porze stosowny, zrobić może piękna szarfa. Modne i ładne kolory wstążek rypsowych i *double façe*, są od ceny 1 rs. 20 kop. za łokieć. Kupiona w magazynie szarfa upina się bezpłatnie.



N. 5. Okrągły kapelusz z wysoką główką.



N. 6. Vêtement płaszczykowe, kapelusz i mufka.



N. 7. Oszycie z poczwórnej wypustki i plisy do ryc. 6

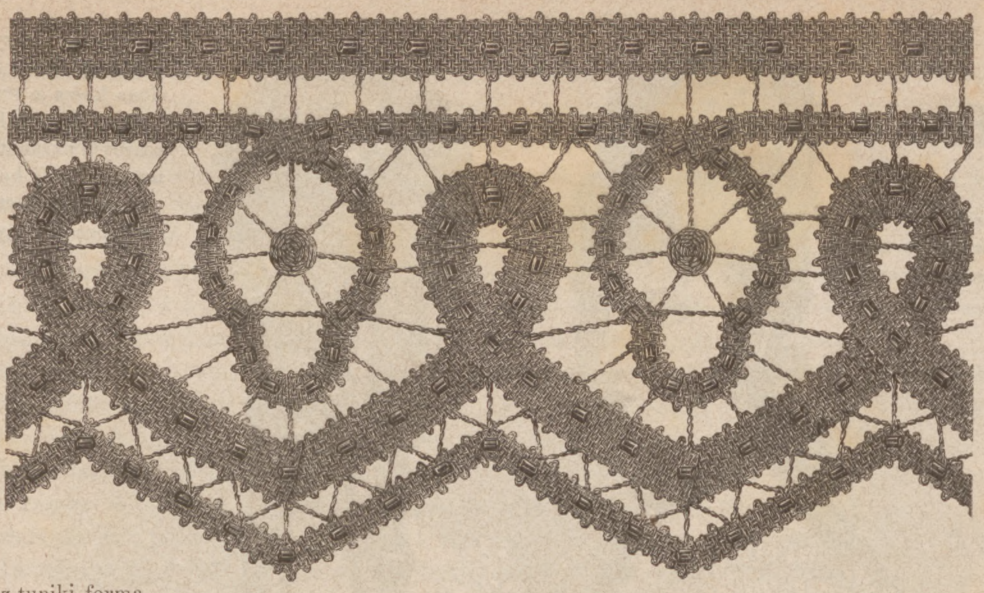


N. 8. Stanik z baskiną.

Panie Wilczyńskie posiadają także wielki zapas wytwornych koronek białych i czarnych, prawdziwych i bardzo pięknych imitacyi. Koronki te sprzedają się na łokcie. Białe barby i bogate oczepinowe upięcia również są przepyszne. W obecnej porze niepoślednią grają także rolę woaliki na różne ceny i w różnych fasonach i guście. Między koronkami pomieszczono chusteczki do nosa z cennemi brzegami z koronki.

Nadzwyczaj modne kanzuty tiulowe z koronką, dżetem, sfinksem, kokardami podpinane, wielce praktycznemi okazały się w damskiej garderobie, mile przeto przyjęte będą na kolędę a milej jeszcze całe vêtement przezroczyste. Kosztowny ten dar jednak nie dla wszystkich przystępnym być może. Vêtement to składa się z tuniki formą dużego fartuszka, dopełnionego kaftaniczkiem bez rękawów, zwanym *casaque cuirassier*. Hiszpański dubeltowo złożony tiul, którego deseń misternie dżetem się zasiewa, przedstawia większą gwarancyję trwałości niż koronka nawet.

Przedewszystkiem jednak zwrócić musimy uwagę na piękne omoniery z kwiatów, jako śliczny i najwłaściwszy podarunek dla młodziutkiej panienki, któremi skromna biała sukienka powabnie i z wdziękiem prawdziwie dziewiczym przystroi się. Jest to zupełna nowość na ten karnawał, miłą więc noworoczną niespodziankę stanowić może.



N. 9. Irlandzka koronka z szerokiej plecionki wyszytej perełkami.



N. 10. Poduszeczka na toaletę. Patrz ryc. 15—18 w N. 51.



N. 12. Jedna kwaterka do woreczka ryc. 11.



N. 11. Worek do tytoniu. Haft na skórze. Patrz rycimy 12—13.



N. 13. Kwaterka do woreczka rycina 11.

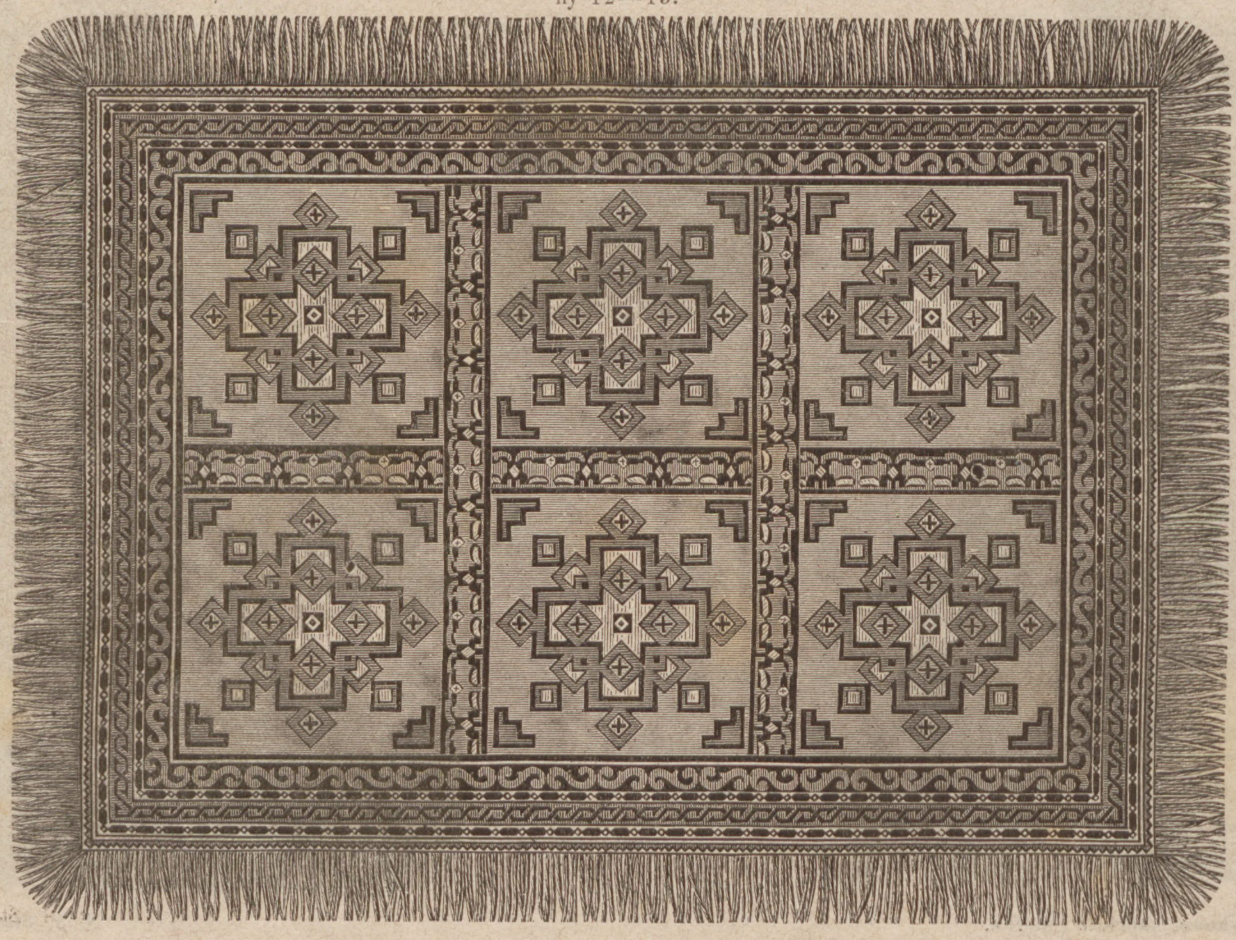
Opis do N. 52.

N. 1—2. Balowe ubranie głowy, podane z przodu i z tyłu.

Powyższe ryciny wskazują jeden z najświeższych sposobów upięcia kwiatów i włosów do strojnego wieczorowego ubrania. Z dodatkiem krepin i loków nawet małe własne włosy, ułożyć można w ten sposób. Nad czołem włosy rozdzielone na środku, karbowane są i rozczesane, nad skroniami podniesione w górę i razem z włosami tylnemi związane na czubku głowy, a następnie ułożone w pukle na krepinach. Przy długich własnych włosach loki ułożone są z pozostałych końców od pukli, przy małych przypinają się od spodu pod puklami. Na ryc. 1 krzyżyk i aksamitka na szyję naszyta jest porcelanowemi różami, z których także urządzone są kolczyki.

N. 3. Kokarda z egretką do włosów albo do kapelusza.

Kokarda ułożona była z rypsu i aksamitu szafirowego, ciętego skośnie i mającego 10 cent. szerokości. Egretka składa się z szafirowych szklannych kulek i podłużnych kwadratów, przymocowanych oddzielnie do stalowych giętkich drucików.



N. 14. Dywanik. Robota krzyżowa. Patrz ryc. 19—21 w N. 51.

N. 4. Ubranie głowy z piór i kwiatów.

Do strojnego ubrania głowy, bardzo używane są pióra w połączeniu z kwiatami. Model upięcia składa się z kity piór czaplich, róży herbacianej, centofolii z jesiennemi liśćmi i sutej plerezy blado różowej; do poważniejszego ubrania można dodać białą lub czarną koronkę.

N. 5. Okrągły kapelusz z wysoką główką.

Szafirowy aksamitny kapelusz z bardzo wysoką główką, ma rondko z przodu trochę, z boków dużo odwinięte i rypsem niebieskim objęte z brzegu. Z takiegoż skośnego, 20—25 cent. szerokiego rypsu, ułożone są fałdy na główce i wysokie upięcie z tyłu. Dwie szmelcowane stalowe agrafy, dwie róże herbaciane i niebieskie, z prawego boku przypięte skrzydełko, dopełniają sute ubranie kapelusza.

N. 6—7. Vètement paltotowe, mufka i kapelusz.

Vêtement zastępujące paltot robi się z aksamitu, welwetu, sukna albo wigoniu, i podszywa pod stanik flanelą; brzegi, mankiety i kołnierz, oszyte są poczwórną wypustką z materyi takiego samego koloru. Próbkę wypustek w które zaszywa się gruby sznurek, podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 7. Guziki są oksydowane. Czarny aksamitny kapelusz, odpowiednio do mufki objęty dwojakiem futrem puszystem, to jest: czarnem i kasztanowatem. Kokarda z aksamitnej wstążki, przepięta klamrą stalową. Na kokardy i końce zdobiące mufkę potrzeba 200 cent. aksamitki 5 cent. szerokiej.

N. 8. Stanik z baskiną. Krój podług formy do ryc. 21 w N. 46 Tygodnika Mód.

Ryc. 8 przedstawia ubranie z materyjału w dwóch cieniach; do strojniejszej sukni wełnianej, kolor ciemniejszy użyty na garnirunki i kamizelkę, zastąpić można materyją, a do jedwabnej aksamitem.

N. 9. Koronka irlandzka naszyta dżetem.

Do oszycia paletotów, vêtement, lub mantyl, koronkę robi się z czarnej koronkowej tasiemki dwojakiej szerokości; do spajania kratkami służy kordonkowy czarny jedwab. Dżet naszywa się na wykończonej koronce.

N. 10. Poduszeczka na toaletę, ozdobiona haftem różnokolorowym na suknie.

Materyjał: błękitny atłas, takaż wstążeczka w atła-

sie 3 cent. szeroka; białe sukno, perełkowy, błękitny jedwabny sznurek, sznureczek złoty, kordonki kolorowe.

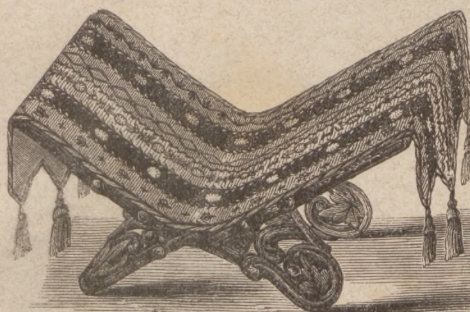
Poduszeczka 8 cent. wysoka, a 14 cent. w kwadrat trzymająca, szyje się z płótna, wyściela watą i pokrywa gładko z wierzchu i od spodu atłasem. Boki ozdobione są bufą atłasową, zakończoną u dołu wązką falbanką, a u góry mniejszą, na wierzch poduszeczki zachodzącą bufką. Na dolną bufę oprócz falbanki potrzeba skosu 7 cent. szerokiego, na górną wraz z wąziutkim nagłówkiem 6 cent. szerokości. Cztery w róg ścięte, na białym suknie hafto-



N. 15. Patarafka z wypukłym brzegiem. Patrz ryc. 16.

N. 14. Dywanik robotą krzyżową. Desenie do roboty krzyżowej. Ryc. 19—21 w N. 51 Tygodnika Mód.

Kolory dywanika dobrane są podług malowideł Holbejna tak powszechnie cenionych; my jednak możemy tylko podać deseń i wskazać kolory, ale nie jesteśmy w stanie oznaczyć odcieni i ogólnej harmonii, która od gustu i wprawy zależy. Na tle orzechowo-brązowym na kształt sarniego koloru, kolor jasno szafirowy, i ciemno żółty mie-



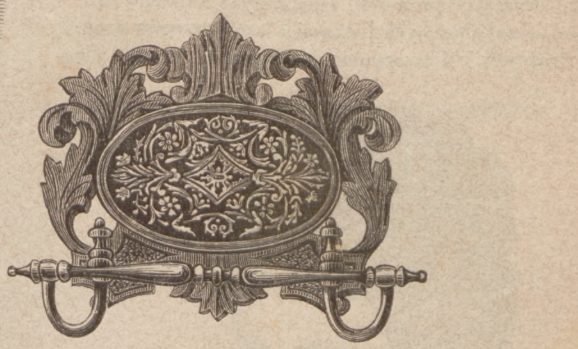
N. 21. Składana ławeczka pod nogi. Patrz ryc. 22.



N. 19. Rozłożony listek ze srebrnej kanwy do ryc. 18.



N. 16. Pojedyncza figura do ozdobienia brzegów patarafki ryc. 15.



N. 27. Wieszadło do ręcznika. Malowanie na szkle z naśladowaniem konchy perłowej. Patrz ryc. 25.

wane medalijony, trzymają wzdłuż 8, w środku $4\,^3/_4$ cent. szerokości. Maleńki podłużny bukiecik, haftuje się odpowiedniemi kwiatom i liściom kolorami. Na szlaczek z brzegu, wyszyty perełkowym sutaszem, złotym sznureczkiem i czarnym kordonkiem, służyć mogą deseniki podane na ryc. 17—18 w N. 51 Tygodnika Mód. W zęby wycięte brzegi białego sukna, powinny wystawać za haft na szerokość słomki. Na rogach przyczepione kokardy ze wstążeczki atłasowej.



N. 18. Wyszyty listek do patarafki ryc. 19.



N. 20. Kwadracik wyszyty na kanwie skórzanej, do ryc. 17.

niący się niejako w czerwonawy, tworzą całość miłą dla oka, jeżeli tylko spadek cieni nie jest gwałtowny, ale raczej zlewający się w jedną całość.

Ryc. 19 przedstawia $^1/_4$ część każdej gwiazdy, które łączone są w kwadraty, szlakiem ryc. 20, szlak zaś brzeżny i narożniki znajdują się na ryc. 21; całość przedstawia ryc. 14 w N. bieżącym. Każdy kwadrat obwiedziony w koło jednym rzędem krzyżyków czarnych, liczy z brzegów po 163 krzyżyki. Sześć takich kwadratów przedzielonych szlakami, potrzeba na cały dywan; brakujące narożniki znajdują się na ryc. 21, przedstawiającej róg szlaku, otaczającego dywanik.

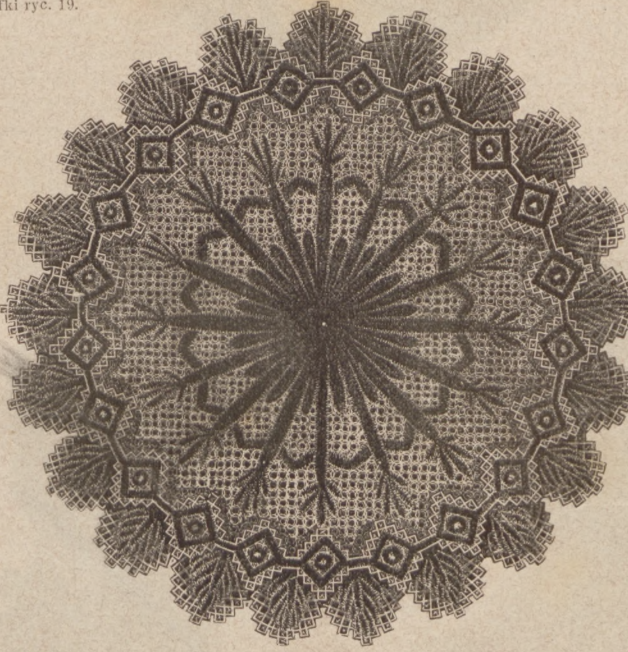


N. 22. Ławeczka pod nogi złożona patrz r. 21.

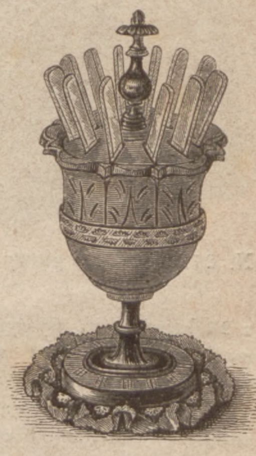
N. 11—13. Kapciuch. Haft kolorowy na skórze.

Materyjał: skóra popielata, takiż ryps albo kaszmir, gruby złoty sznurek, złota nitka, jedwab kordonkowy koloru białego, żółtego, zielonego, czarnego, niebieskiego, pąsowego i dwa cienie bordo, różowe i orzechowe.

Dolna część woreczka czyli kapciucha, składa się z sześciu, naprzemian podług ryc. 12 i 13 odrobionych części, zeszytych z sobą z lewej strony. Część górną ściąganą na sznurki z kwastami, urządza się z prostego kawałka materyi albo kaszmiru kolorowego, mającego wraz z podwójną, górną falbanką 56 cent. szerokości a 14 cent. długości. Woreczek przyszywa się równo do dolnej części kapciucha, zakładając zbywający materyjał w kontrafałdę na wgłębieniu każdego zęba; dolna część poprzednio podszyta być powinna takąż podszewką, przykrojoną podług formy kwaterek. Sznury i kwasty robi się z wszystkich mięszanych kolorów kordonku, użytego do haftu. Pod skórę do haftu podkłada się mocny szyrtyng, razem z nią wszyty do tamborka. Kwaterki podane na ryc. 12 oszyte są z brzegu złotym, sznureczkiem, przyczepionym jedwabiem żółtym, za którym idzie sznureczek haftowany kordonkiem czarnym. Koła odznaczone są także sznureczkiem złotym a haftowane kolorem pąsowym, niebieskim, białym i żółtym, listki kolorem orzechowym, ciemno różowym i nitką złotą; środkowa figura obrobiona jest kolorem bordo z niebieskim i zielonym z żółtym. Supełki kolorem białym i żółtym, a ściegi długie jasno różowym i jasno orzechowym.



N. 17. Patarafka. Patrz ryc. 16—20.



N. 23. Postument do nożyków deserowych.

N. 15—16. Patarafka z wypukłym brzegiem.

Materyjał: jasno popielata skórzana i srebrna kanwa, ciemno karmazynowa sznela i jasna karmazynowa filozela; kawałek materyi i wstążeczka karmazynowa, w mantynie, 2 cent. szeroka wata i tektura.

Na patarafkę przedstawioną na ryc. 15, wykrawa się z tektury okrąg mający $24\,^1/_2$ cent. średnicy, na środku którego przykleja się okrąg kanwy skórzanej, 14 cent. średnicy, wyszyty jakby w kratę plecioną, sznelą karmazynową, długiemi w poprzek i w podłuż przeszywanemi ściegami. Wypukły brzeg patarafki stanowi wałek z waty od spodu spłaszczony $1\,^1/_2$ cent. wysoki, karmazynową materyją pokryty gładko, niedochodzący do brzegu patarafki na 1 cent., a od środka przykrywający brzeg kanwy. Spód patarafki podkleja się karmazynową materyją, która odwija się do wierzchu aż pod brzeg wałka, na materyi naszywa się w koło riusza z wstążeczki. Szesnaście figur ze srebrnej kanwy, wyszytych sznelą i filozelą, i umieszczonych na wypukłym brzegu, odrabia się podług wzoru podanego w połowie naturalnej wielkości na ryc. 16. Figury te mają 23 dziurek wysokości, a 11 szerokości.



N. 25. Medaljon. Malowanie na szkle z naśladowaniem konchy perłowej.

N. 17—20. Patarafka z brzegiem z liści.

Materyjał: kanwa jasno popielata skórzana i srebrna z dziurkami okrągłemi i kwadratowemi, sznela czarna, brązowo-pąsowa i tektura.

Na okrągłym kawałku tektury, mającym 23 cent. średnicy, przyczepia się kanwę srebrną w dziurki okrągłe, o 1 cent. do brzegów niedochodzącą, na której w sposób na ryc. 17 wskazany, wyszyta jest sznelą czarną gwiazda, złożona z 16-tu krótszych i 16 dłuższych promieni, połączonych z brzegu ząbkami, a zakończonych listkami z 5-ciu ściegów szneli brązowej. Przyozdobienie brzegów składa się



N. 26. Wycięty stanik z baskiną.



N. 27. Uczesanie głowy w pukle, z warkoczem nad czołem.

z 21 kwadratów, wyszytych na kanwie skórzanej podług ryc. 20 i z 21 wypukłych listków, wyszytych na kanwie srebrnej w dziurki kwadratowe.

Każdy listek wykrawa się podług ryc. 19, potem zeszywa wewnętrzne brzegi, punkt w punkt nitką białą i otrzymuje w ten sposób liście wypukłe, które wyszywa się sznelą ciemno-pąsową, w sposób na ryc. 18 wskazany. Pierwszą część liścia wyszywa się od góry do dołu, ana-koniec dodaje się długi ścieg przez środek. Przyszycie liści do patarafki przykrywają kwadraty z kanwy skórzanej, wyszyte sznelą czarną, i łączone z sobą za rogi spiczaste, poprzecznym ściegiem czarnej szneli. Kwadraty te od spodu pod szneią, przyszywa się białą nitką mocno do patarafki którą podkleja się białym morowym papierem.

N. 21—22. Stołeczek składany pod nogi, z pszykryciem kolorowo haftowanem.

Postument stołeczka składa się z dwóch płaskich drewnianych części starannie snycersko odrobionych i bejcowanych na kolor ciemny, mający 18 cent. szerokości a 24 długości, które na 11 cent. od dołu, wchodzą jedna w drugą. Kolorami haftowane przykrycie, zarzucone luźno na postument i z boków w zęby wycięte, może być odrobione na pasach, sukna, albo innej wełnianej materyi, w stosownie dobranych kolorach. Odpowiednie desenie znajdują się w ubiegłych numerach Tygodnika.

(dokoń. nast.).



N. 28. Uczesanie w długie loki.



N. 29. Vêtement szalowe z kamizelką. Przód do ryc. 1 w N. 51.

N. 30. Vêtement z okrągłą tuniką.

Tygodnik Mód w Warszawie 1874 roku.

DODATEK

z opisami wzorów i krojów do Numeru 52.

Opis do N. 52.

(*Dokończenie*).

N. 23. Postument do noży owocowych, ozdobiony haftem perełkowym lub kolorowym, desenie ryc. 15, 16, 24 i 29 w N. 51.

Drewniany w kształcie urny wyrobiony postument, ozdobiony jest paskiem haftu perełkowego, albo jedwabiami na aksamicie lub suknie odrobionego, do którego odpowiednia patarafka, oszywa się frendzlą z perełek albo riuszą i haftowanemi zębami.

N. 24—25. Wieszadło do ręcznika albo do rzeczy.

Malowanie na szkle, naśladujące inkrustacyją z konchy perłowej. Dokładny opis malowania podaliśmy w N. 9 i 45 Tygodnika mód. Dodamy tylko że można zarówno dawać deseń biały mieniony na tle czarnem, albo deseń czarny na tle mienionem białem.

N. 26. Stanik wycięty.

Podany przez nas stanik należał do sukni z tafty blado niebieskiej z okrągłą tiuniką, garnirowanej falbanami marszczonemi. Na wypustki bez sznureczka, przy falbanach, użyto materyi kukurydzowego koloru. Takież podwójne wypustki przy tunice, baskinie i patkach, zastępujących krótkie rękawki, miały wszyty gruby sznureczek. Głęboki wykrój stanika dopełniony jest poprzecznie plisowanym tiulem jedwabnym, oprócz którego można jeszcze dodać szmizetkę oszytą jedwabną, wązką koronką i przyciągniętą na wstążeczkę. Podwójnie złożone falbany z jedwabnego tiulu, mające 9 cent. szerokości zastępują krótkie rękawki. Duże, w niebieską materyję oszyte guziki przyszyte są z tyłu na wcięciu baskiny; mniejsze służą do zapinania stanika z przodu.

N. 27. Ubranie głowy z warkoczem upiętym w koronę.

Potrzeba wielkiej obfitości własnych włosów, ażeby takie upięcie obeszło się bez dodatków. Przy mniejszych, włosy dzielą się z przodu na środku, rozczesują nad czołem, a nad skroniami podnoszą w górę i upinają na odstających krepinach, następnie wiążą się na czubku głowy wraz z częścią włosów pozostawionych z tyłu i układają w loki, lub rozczesują gładko. Szynion na krepinach, przywiązuje się przy wiązaniu własnych włosów i upina w koronę nad czołem.

N. 28. Ubranie główy z puklami i lokami.

Takie uczesanie wymaga bardzo wprawnej ręki, i wielkiej obfitości włosów, to też zwykle nieobchodzi się bez pomocy fryzjera, który własne włosy umiejętnie zużytkuje, a mniejsze lub większe braki dopełni.

N. 29 i ryc. 13 w N. 51 Tygodnika. Vêtement szalowe z częściami kamizelki.

Oryginalne szalowe vêtement które podajemy z przodu i z tyłu, dopasowane jest podług formy do ryc. 37—38 w N. 48 Tygodnika. Przody mają 105 cent. długości, 55 dolnej szerokości; z boków baskina także przystaje gładko, tylko przy plecach ułożona jest w podwójną kontrafałdę. Szeroka wstążka służy do związania vêtement z tyłu na kokardy; do przodów dodana jest krótka kamizelka. Na modelu spódnica, rękawy i kamizelka, były z czarnej materyi a vêtement z Matelassé. Ubranie pokojowe podane na ryc. 13 w N. 51, oszyte jest tylko podwójną wypustką z grubym sznurkiem, na ryc. 29, vêtement spacerowe oszyte piórami, które zdobią także mufkę.

N. 30. Vêtement z okrągłą spódniczką. Krój jak do ryc. 41—43 w N. 48 Tygodnika mód.

Do sukni jasnej wełnianej, w jednym z modnych obecnie niepewnych kolorów, na falbankę, i kapturkowe ubranie pleców, dobiera się aksamit, materję jedwabną lub wełnianą, w ciemniejszym cieniu tego samego koloru. Kapturkowa kreza podszyta ciemniejszym materyjałem, ma 160 cent. długości, 12 cent. środkowej a 6 cent. szerokości w końcach. Mankiet przy ręce, ubrany guzikami jest z materyjału ciemnego, a górne przecięte wyłożenie z jasnego, z ciemną wypustką. Falbanka ciemna 10 cent. szeroka, objęta jest u dołu jasną wypustką i przyszyta w górze takąż plisą.

O OBUWIU.

Ś. p: Neuburg niegdyś Rektor szkół Lubelskich, chąc wdrożyć w umysł uczniów znaczenie nauki we wszystkich wielkich i małych sprawach ludzkich, zaczynał zwykle od pytania:

„Czego byś potrzebował aby uszyć buty,“ po długiem kołowaniu, po fikcyjnem nabyciu wszystkich narzędzi i materyjałów, pokazywało się w końcu że buty uszyte być nie mogą, dla braku nauki. Otóż czyniąc zadosyć życzeniu Czytelniczek naszych, wymieniamy cenę materyjałów i narzędzi do rzemiosła szewckiego potrzebnych, i na wstępie powtarzamy zdanie czcigodnego przewodnika młodzieży, że nadewszystko potrzebną jest nauka, i że nabyć jej można tylko praktyką radząc się dobrego majstra. Osoba posiadająca talent w palcach może się nauczyć szyć trzewiki w ciągu roku.

Narzędzia szewckie, jakkolwiek rzemiosło uczyniło znaczne postępy, a raczej wytworzyło mnóstwo nowych form, dodatków i ozdób, nie są drogie chociaż liczne. Stołek mocny, wprawdzie nieestetyczny kosztuje w Warszawie 15 kop. Kopyta dla obuwia kobiecego 15 kop, steski, to jest kawałki skóry nakładające się na kopyto, 10 sztuk po 10 kop., młotek 60 kop.. cęgi 60 kop., cążki 37 i pół kop., cążki do kółek 75 kop. nóż 37 i pół kop. a potrzeba mieć co najmniej dwa noże, glansownik 20 kop. fugownik 50 k., potrzeba również ich mieć przynajmniej dwa. Są jeszcze inne pomniejsze narzędzia do eleganckiego wykończenia służące. W ogóle wszystkie potrzebne narzędzia do szewckiego warsztatu można nabyć w Warszawie za rubli 8.

Z materyjałów najbardziej używanych jest prunela, łokieć pruneli kosztuje od 75 do 90 kop. Z łokcia można mieć dwie pary bucików. Skóra, tak zwana szagrynowa kosztuje od rs. 1 80 kop., do rs. 2 k. 35; wykrawa się z niej trzy pary bucików. Skóra lakierowana płaci się od 2 r. 50 k. do 3 r. 50kop.. daje także trzy pary. Skóra kozłowa 2 r. i z niej wykroi się także 3 pary. Drelich czarny mocny, z którego szyć można, codzienne buciki 25 kop. łokieć, wystarcza na dwie pary. Atłas biały 1 r. 20 kop. do 2-ch rub. daje dwie pary, ale balowych trzewików, płytkich

Sznurowadła od 1-nej do 6-u kop.
Szydło pół kop.
Dratwy motek 75 kop. na parę 1 i pół kop.
Smoły za $^1/_4$ kop.
Klej, używa się teraz tak zwany Berlejn (Bierlejn funt 25 kop. po 1 kop. na parę.
Kokardy do pantofelków z wstążek 30 kop, z pruneli 8 kop.

Obcasy. Robota obcasów jest rzeczą trudną, materjał kosztuje niewiele, zawsze jednak wyniesie około 10 kop.— Dziś robią i drewniane obcasiki, po 20 kop. para, obciągają je mocno skórą lakierowaną i przyszywają do bucika. Umocowanie podobnych obcasów, jest rzeczą trudną, ich trwałość bardzo nie długa, podobny sposób używa się tylko przy szyciu balowego obuwia; służy na jedną noc.

Szycie zwyczajnych obcasów zależy na dokładnym przybijaniu skóry do skóry, i nadaniu ostrym nożem odpowiedniej formy, utworzonej przez przybijanie bryłcy; wymaga silnej ręki i cierpliwego kolana.

Wcale dobry półaksamit kosztuje 75 k. łokieć, z łokcia można uszyć dwie pary pantofelków. Łokieć flaneli wystarcza na podszycie 3 par, kosztuje od 37 do 60 kop. Sukna czarnego łokieć 1 rs.

Można kupić w składach warszawskich uszyte, jedwabiem stebnowane i korkami obsadzone cholewki do bucików po następujących cenach: Szagrynowe po 1 rs. 35 kop. lakierowane od 2 r. 50 do 3 rs. prunelowe od 80 do 1 rs. 20 kop. para. Podeszwy pojedyncze do pary bucików kosztują 30 kop. dubeltowe 60 kop. Guma 18 kop., lepsza 20 i 22 kop. do pary.

Drobne dodatki wypadają na cenę pary bucików, w przybliżenlu jak następuje:

Płótna 18 kop łokieć, wystarcza na dwie pary.
Kółeczek tysiąc 30 kop, na parę bucików 1 kop.
Ircha na wyściłkę podeszew 5 kop.
Funt szpilek 10 kop. wystarcza na dwie pary.
Fnnt sztyftów 24 kop. na parę pół kop.
Tyły do pary 4 kop.

Miara bierze się w sześciu miejscach, pięć razy około nogi raz wzdłuż stopy, od środka pięty do końca wielkiego palca, na papierze złożonym w sposób wszystkim doskonale znanym.

Kończąc cennik niech nam wolno będzie wyrazić istotne uwielbienie dla pań chcących poświęcić się użytecznemu rzemiosłu.

Wprawdzie aby buciki zrobić z całą wytwornością szewców warszawskich, trzeba nie małej wprawy której się tylko z czasem nabywa, zawsze jednak choć robota nie będzie tak piękną jakbyśmy pragnęli, ale znacznie mniej kosztowna, co braki wszelkie aż nadto wynagrodzi.

Gdzie rodzina liczna tam obuwie nie małą stanowi rubrykę wydatków: umniejszać ich w każdym kierunku, głównem być winno naszem zadaniem.

OGŁOSZENIA.

Praktyczne Podarunki na Kolendę

W MAGAZYNIE

W. Dziechcińskiego.

przy Ulicy Miodowej Nr. 587a.

Okrycia, wierzchy do futer i **kostjumy, kaftany** od **rs. 5. i pół.** Chustki Himalaya od **rs, 8 i pół. Mufki** z futra od **rs. 2 i pół, Halki** od **rs. 3 i pół, Halki** czarne pikowane od **rs. 4 i pół, Chustki** włóczkowe od **rs. 1—parasole** od **rs. 1 pół.**

Skład bielizny gotowej

Wilczewskiego.

Krakowskie Przedmieście Nr. 369.

Poleca wybór bielizny męzkiej i damskiej, kołnierzyków, negliży, czepeczków i t. d.

J. ROSIŃSKA.

Poleca magazyn mód, zaopatrzony na nadchodzący Nowy rok we wszelkie nowości, oraz pracownią sukien, wykonanych podług najświeższych modeli.

Ulica Krakowskie Przedmieście Nr. 23 nowy.

W domu Bogka przy Ulicy Nowo-Senatorskiej i placu Teatralnym do magazynu perfumeryj W. B. Śniechowskiego nadeszły towary z pierwszorzędnych fabryk Europy a mianowicie: **Lubin'a, Violet'a, Guerlain'a, Legranda, Societe' Hygienique, Gellé fréres, Ch. Faya** i wielu innych.

Z fabryki angielskiej Eugène Rimmel posiada najwonniejsze **Ess-Bouquet** i mnóstwo rozmaitych kosmetyków.

PRACOWNIA

IZABELI CHŁUSIEWICZOWEJ.

dawniej Siarczyńskiej

Nowy Świat Nr. 72.

Przyjmuje wszelkiego rodzaju roboty sukien damskich, salop, paletotów i t. d. zapewniając elegancie i najakuratniejsze wykończenie podług najnowszych fasonów.

Magazyn ten przyjmuje wszelkie zamówienia tak w Warszawie, jak i na prowincyją.

W magazynie **Maryi Mareńskiej** przy placu Bankowym Nr. 2. znajdują się kapelusze, czepeczki, kaptnrki i t. d. po cenach najumiarkowańszych

---

AMERYKAŃSKIE PATENTOWANE

ELASTYCZNE PODWIĄZKI

uznane ogólnie jako najdogodniejsze i najmniej zdrowiu szkodzące, a przytem przewyższające w elegancyi i trwałości wszelkie w tym rodzaju istniejące wyroby, poleca:

Jedyny Skład

Oryginalnych Amerykańskich Wheelera i Wilsona

MASZYN DO SZYCIA

w Warszawie, ulica Rymarska Nr. 8.

Biorącym znaczniejsze partye, odstępuje się stosowny rabat.

Istniejący przy placu Teatralnym Nr. 7

MAGAZYN MÓD

pod firmą:

E. WILCZYŃSKA

zawiadamia Szanowną Publiczność, że **od 1-go Października r. b. zmienia się dawna firma na**

W. i E. WILCZYŃSKIE.

Dotychczasową swą działalność Zakład rozszerzył w ten sposób, że d. 15 Października otworzył **drugi** Magazyn przy ulicy Czystej Nr. 2, wyłącznie zaopatrzony w najświeższe Mody i Nowości paryzkie. Poleca zatem Szanownej Publiczności wielki wybór **Kapeluszy, Czepeczków, Negliżyków, Ubranek, Kanzutów, Ubrań koronkowych** dżetem wyszywanych, **Woalek, Fanszonów, Barb** i urządzoną szczegółową sprzedaż artykułów do stroju, jako to: **Szarf, Wstążek, Tiulów, Koronek** prawdziwych i w imitacyach, **Guipiur** jedwabnych i wełnianych, **Ozdób dżetowych, Welonów ślubnych, Piór strusich i fantazyjnych** i t. p. jedną z głównych specyalności nowo-otworzonego Magazynu stanowić będzie wybór **Kwiatów,** od najmniejszych bukiecików do najbogatszych garniturów balowych i ślubnych, sprowadzanych z najcelniejszych fabryk paryzkich. Wszystkie te wyroby, sprzedawane będą po cenach najumiarkowańszych.

Magazyn przy placu Teatralnym Nr. 7, po powrocie właścicielek z Paryża, zaopatrzony został w **Modele Sukien i Konfekcyi** najpierwszych domów paryzkich, podług których wykonywa wszelkie obstalunki, tak z własnego towaru, jako też z powierzonych sobie materyałów.

Widząc konieczną potrzebę wskazania właściwej drogi do nauki kroju sukien damskich, pośpieszyłam napisać to co stanowi gruntowną jej podstawę. Ponieważ w tych czasach wiele Pań życzy sobie umieć krajać suknie, a dotąd nie ma żadnego pewnego sposobu, któryby mógł do tego celu doprowadzić, przeto wypracowałam dziełko: **Wykład kroju Sukien damskich i innych fasonów na sposób francuzki.** Jest to treściwie, dla każdego przystępnie i zrozumiale opisany sposób brania miary, skrajania i całkowitego wykończenia tak sukni, jak i innych ubiorów damskich, również i bielizny, zaopatrzony w stosowne wzory i rysunki, mieszczący w sobie uwagi i spostrzeżenia długoletniem doświadczeniem nabyte, a które każdej osobie chcącej nauczyć się dokładnego wypracowania ubiorów damskich koniecznie są potrzebne. Cena egzemplarza rs. 1, z przesyłką pocztową rs. 1 k. 15.

Nabyć można w Zakładzie nauki kroju przy ulicy Długiej Nr. 32, drugie piętro i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

A. Gałecka.

Fabryka Kwiatów

HENRYKI DANIŁOWSKIEJ.

Ulica Nowy Świat Nr. 72.

Przygotowała na nadchodzący karnawał rozmaity dobór kwiatów po cenach umiarkowanych.

MAGAZYN

K. RUTKOWSKIEJ

Przy ulicy Miodowej N. 11.

Zaopatrzony został w najmodniejsze okrycia, suknie gotowe, paletoty, kaftaniki i inne przedmioty służące do toalety damskiej.

Zakład Fryzjerski

Jana Kleszczyńskiego

w Pałacu W-go Dyzmańskiego przy ulicy Podwal Nr. 3 nowy.

Przysposobił wielki wybór różnych wyrobów Fryzjerskich, po cenach jak najprzystępniejszych, z których tenże zakład dał już się poznać przez ciąg ośmioletniej swej egzystencyi, jak niemniej w najlepsze gatunki Perfum i Pudrów, oraz galanteryi w cenie poczynając od kop. 10-ciu za przedmiot. Zakład powyższy uskutecznia również czesanie głów Damskich tak w Zakładzie, jak i po domach prywatnych, jednorazowo lub miesięcznie, nadmieniając iż przygotował również znaczny dobór gustownych kwiatów balowych.

Magazyn Strojów i Sukien Damskich

ANTONINY ŁAPIŃSKIEJ.

Ulica Senatorska wprost Miodowej, 1-e piętro.

Zaopatrzony został w znaczny zapas **Kapeluszy** podług najświeższych modeli paryzkich, po cenach bardzo umiarkowanych; — podejmuje się także roboty: **Sukien, Okryć** i **Salop,** tak ze swego jak i z powierzonego materyału.

Wszelkie obstalunki ze wsi, za przysłaniem miary przyjmuje, a suknie balowe z garnirunkiem i kwiatami od rs. 15 dostarcza.

W Magazynie Strojów

P. P. PFEIFFER

Ulica Rymarska Nr. 4 wprost Banku na 1-m piętrze

przyjmują się do roboty: **Suknie** kostiumowe i balowe, **Salopy, Paletoty,** z podszyciem futra, **Okrycia i Kaftaniki;** można także dostać gotowe, po nader przystępnych cenach: **Kapelusze, Czepeczki, Ubranka, Fryzy i Kołnierzyki,** oraz gotowe negliże jako to: **Spódnice, Kaftaniki Czepeczki i Penioary;** Suknie tarlatanowe z kwiatami robią się po cenie od 15 rs.

MAGAZYN OBUWIA MĘZKIEGO

pod firmą

Mantey i Wierciński

róg Bielańskiej i Tłomackiego Nr. 1 obok Hotelu Paryzkiego poleca znaczny swój zapas obuwia do obecnej pory zastosowanego w gatunkach wyborowych, jak również i obuwie dziecinne po cenach nader przystępnych.

Дозволено Цензурою.